cres. 12442/2/21

PRENUMERATA

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 21 (34)

WARSZAWA

SOBOTA

26-V-1934 R.

PION

Biblioteka UMCS Lublin II 687/91

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WINCENTY RZYMOWSKI

PORTRETY WSPÓŁCZESNE

Marja Kuncewiczowa

I.

Marja Kuncewiczowa nie może skarżyć się na brak długoterminowego kredytu w naszej opinji literackiej. Już pierwszy jej utwór powieściowy „Przymierze z dzieckiem", wydany w r. 1926, spotkał się z uznaniem, które młodej autorce zapewniło wybitne stanowisko w beletrystyce współczesnej.

Czy chcę przez to powiedzieć, że uznanie, jakiem cieszy się ona dotychczas, wynika z aktu zaufania, zdobytego, już pierwszym, początkowym utworem? Nie. Ale pragnę podkreślić i przypomnieć, że ten pierwszy utwór oczarował nas właśnie, jako zapowiedź, rokująca rozwój śmiałego i prężnego talentu.

Śmiałość i świeżość pomysłu, zawartego w „Przymierzu z dzieckiem", polegała już na tem że autorka, malując przeżycia kobiety, podjęła wątek opowieści w tem miejscu, gdzie on w dotychczasowej beletrystyce naszej zazwyczaj się urywał: na progu nego śro[illegible] miodego, kipiącego pełnią soków, macierzyństwa.

Dawna nasza powieść i nowelistyka w tej postaci, w jakiej nam przekazali ją Kraszewski i Jeż, Prus i Sienkiewicz, Orzeszkowa i Konopnicka, nawet Żeromski i Reymont, znały dziewicę, matkę, kochankę i matronę, żonę i towarzyszkę, bachantkę i kapłankę domowego ogniska. Ale oblubienicę i narzeczoną, burzliwych i najdłuższych przygodach odprowadzano zawsze tylko do drzwi małżeńskiej sypialni. Kochankę i rozkosze strącano w przepaść potępienia. Bachy kazano kajać się za grzechy i wskazywano pokutną drogę Marji Magdaleny. Gdzie przełomach burzy i miłości bohaterka polska wracała ponownie na karty powieści, była to już z gruntu uspokojona, pełna w latach posunięta, stateczna dostojna, piastująca godność matrony dosobistej gospodyni, społecznicy lub, megery. Ubrej gosób te przedślubne anioły zmieniały się w chytre podwiki i gderliwe baby. W jaim cudem jawnogrzesznice i kusicielki stygały potem w monumenty cnoty ciężu? Mocą jakich uczuć romantyczne dorastały po ślubie do rozkoszy, ale ciężarów macierzyństwa?

Marja Kuncewiczowa w swem „Przymierzu z dzieckiem" pokusiła się o uchylenie rąbka nad tajemnicą tych lekceważonych przemian. Spojrzała w życie kobiety poprzez rewolucję macierzyństwa. Spróbowała skupić artystyczną i psychologiczną uwagę na momentach, wstydliwie lub małodusznie dotąd w literaturze polskiej omijanych. Otworzyła podwoje sypialni, sięgnęła do przeżyć młodej żony i matki i pokazała, jak w sercu, pochłoniętem przez żar Erosa, rodzi się tkliwość dla niemowlęcia, tkliwość zrazu boleśnie zmagająca się z niechęcią dla „intruza", a potem wspaniale rozkwitająca w przymierze: w przymierze matki z dzieckiem.

W tem zwięzłem odbiciu genezy wzruszeń macierzyńskich, w tych kilkudziesięciu kartach, pisanych drżącą i niedość pewną ręką, było jednak tyle nowego żywiołu, po raz pierwszy zagarniętego pod pióro, a jednocześnie tyle barwy i świeżości wyrazu w podaniu tej nowej treści, że ogół czytelniczy, łącząc się z głosem krytyki literackiej, uznał w dziele Kuncewiczowej nietylko pomyślny debiut, ale i osobowość, mogącą nowy otworzyć rozdział w księdze powieści polskiej.

Ta wiara w talent młodej pisarki, poczęści zarobiona, poczęści polegająca na kredycie, przeniosła nas zwycięsko ponad mielizną jej drugiego utworu powieściowego: „Twarz mężczyzny", nad którym nie warto zatrzymywać się dłużej, i pozwoliła nam spokojnie ocenić niedobory, o jakie następnie potknęła się na scenie jej trzyaktowa sztuka teatralna: „Miłość panieńska".

Z pełnią zainteresowania, zaczerpniętego z przed lat kilku, stajemy teraz wobec nowego, czwartego zkolei tomu w literackim dorobku Kuncewiczowej. Z pełnią zainteresowania, ale już i z pełnią krytycyzmu. Kredyt bowiem uznania, usprawiedliwiony na[illegible] cin, byłby zniewagą dla dzieła, które debiutem już nie jest i które zasługuje na to, aby je rozważyć w jego własnych elementach składowych.

II.

Cóż więc niesie nam nowy tom autorki „Przymierza z dzieckiem"?

Pod tytułem „Dwa księżyce" przynosi on parę dziesiątków nowel, których akcja, rzucona na wspólne tło znanego nadrzecznego letniska (Kazimierz nad Wisłą), kojarzy ze sobą dwa odrębne, obce sobie światy. Swiat tubylczej parafjańskiej biedoty małomiasteczkowej oraz świat wędrownej kolonji wielkomiejskiej, złożonej przeważnie z artystów, którzy w plein-air'ze szukają wywczasu i swobody, a także rozrywki, wrażeń i natchnienia.

Tytuł „Dwa księżyce" nie jest więc przypadkowy. Odbijać się ma w nim dualizm owych zasadniczych motywów, wokół których oplotły się zainteresowania autorki. W tem miasteczku, położonem w zacisznej kotlinie nad Wisłą, wszystko napozór jest podwójne. Są w niem dwa słońca, dwie kopuły niebios, dwie edycje każdego muru, dwie ruiny starego zamczyska, dwie wersje każdej osoby, przechodzącej po rynku. Jedna odbita w oku pracowitej, zatroskanej ludności miejscowej, druga — mieniąca się w oczach cygańskiej zgrai artystów, włóczących się z paletą po zaułkach, flirtującej po zaroślach, baraszkującej w trykotach kąpielowych na plaży.

Są więc i dwa różne księżyce.

Tak przynajmniej autorka przedstawia nam sprawę w pierwszej, niejako reprezentacyjnej opowieści, mającej dać przegląd tych wszystkich osób i motywów, na których gra zamierzyła następnie.

Jest łagodny zmierzch letni. W małem miasteczku nadchodzi pora kolacji i spoczynku. Kupcy żydowscy zamykają sklepy, okalają ce rynek. Wieczorny autobus z klekotem odjechał do stacji, kończąc tę kronikę zdarzeń jaka na odległem pustkowiu wiąże się z rozkładem komunikacji. Uboga drobnica ludzka — rzemieślnicy, tragarze, wyrobnicy — wracają do swych legowisk, obojętni na przepych lipcowego wieczoru, głusi na powab wielkiej rzeki. Niektórzy wstępują po drodze do gospody, aby w kieliszku utopić resztę świadomości. Autorka, opisując to cichnące, układające się na spoczynek miasteczko, chwyta odgłos po odgłosie, bierze szczegół po szczególe w swe delikatne palce, wznosi pod światło zorzy, kąpie je w rosistych echach wieczoru i oprawia w kunsztowne słowo swej wyszukanej sztuki narracyjnej. „Dozorca z magistracką blachą na czapce, Pytkowski, biegł szybko wąwozem do swojej żony Anielci, którą tak kochał, że aż ludzi złość brała... U krawcowej Walentyny dziewczęta przestały terkotać maszynami a także śpiewać „Oczy czarne..." Majster Sowa użerał się z Wojtalikami, ile dniówek robili przy szabrowaniu... Dzieciaki, ochłonąwszy z [illegible] ku i z twarzami umazanemi w śmietanie... Dzień letni, zanim uładził się na sen, musiał dobrze przestygnąć z potu, z harówki, z pośpiechów."

Tymczasem od wschodniej strony pokazał się nad miasteczkiem księżyc, prawie taki sam czerwony i taki wielki, jak słońce, które dopieroco utonęło w rzece. Księżyc tych ludzi miejscowych, ubogich, uznojonych potem. Księżyc niski i przyziemny, zbratany jeszcze z trudem i upałem dnia.

Ale oprócz tego czerwonego księżyca ludzi harujących i utrudzonych jest jeszcze — wieści Autorka — drugi księżyc, biały i wysoki, księżyc marzenia i kontemplacji, księżyc włóczęgów i artystów. Ten drugi wzbija się ponad miasteczko wtenczas, gdy ludność jego, dając folgę spracowanym mięśniom, oddawna śpi głuchym snem bez widzeń i tęsknot. Patrzą weń i widzą go tylko „oni": ci, którzy zjechali tu z paletą, ze szkicownikiem, z duszą łakomą wrażeń, z nerwami głodnemi wstrząsów i ukojeń, poszukiwacze sztuki i jej komedjanci.

„—Księżyc był czerwony — mówi Mena, jedna z bohaterek Kuncewiczowej — kiedy tamci ludzie szli spać. Ciekawam, czy też wiedzą, jak wygląda teraz, gdy jest biały?

— A może — odpowiada jej towarzysz, Eremi, — wogóle są dwa księżyce? Jeden dla wszystkich, i drugi — tylko dla nas?"

Oto jest ów dualizm Autorki, dualizm, który, dalej poprowadzony, musiałby zmienić się konsekwentnie w pluralizm, gdyż nie ulega wątpliwości, że księżyców istnieje tyle, ile par oczu, spoglądających w jego tarczę.

Jeśli więc Kuncewiczowa zatrzymuje się na swym dualiźmie, na antytezie dwu światów odrębnych, to stąd należy, zdawałoby się, oczekiwać, że antyteza ta pod jej piórem stanie się szczególniej bogatem i wydajnem źródłem odkryć lub interpretacyj artystycznych; że owe dwa odrębne środowiska, ścierając się ze sobą w kontrastach, nawzajem oblewać się będą znaczącem i przenikliwem światłem: że, przeciwstawiając się sobie, tem głębiej sięgną do prawdy swoich dusz.

TREŚĆ:

JERZY LIEBERT
SERDUSZKO MARJI
J. A. HERBACZEWSKI
MAGJA TWÓRCZOŚCI
JAN MIERNOWSKI
ROZMOWA Z RAFAŁEM MALCZEWSKIM
WACŁAW KUBACKI
NIEPOKOJE MISTRZA KAROLA
BR. L. MICHALSKI
DO GRUSZY
JULJUSZ ZNANIECKI
SZCZĘŚCIE MORZA
W. RZYMOWSKI
PORTRETY WSPÓŁCZESNE
J. E. SKIWSKI
INFERIORITÄTS KOMPLEKS
JERZY TOEPLITZ
O TALENTACH I WYKSZTAŁCENIU FILMOWEM
RECENZJE KRONIKA SPRAWOZDANIA

III.

Otóż, w oczekiwaniu tem, tak plastycznie w pierwszej noweli uwydatnionem, czytelnik — powiedzmy to stanowczo — zostaje zawiedziony i nawet oszukany. Cały ciąg dalszy książki, rzec można, napisany jest po to, aby udaremnić i rozwiać w próżni antytezę, zawartą w tytule oraz we wstępnym, naczelnym obrazie. Te dwa księżyce — czerwony i biały — jak okazuje się, nie mają sobie nic do powiedzenia. Srodowisko małego, ciasnego miasteczka oraz grono osób z „szerokiego" świata, zetknąwszy się ze sobą, nie wynoszą z zetknięcia tego ani jednego istotnego przeżycia, zawichrzenia lub dreszczu.

Malarze, artyści, letnicy żyją sami sobie, spacerują przy księżycu, kąpią się w Wiśle, bawią się w przelotne miłostki; mieszkańcy miasteczka również żyją sobie zasklepieni w kręgu własnych zabiegów, trosk i niedoli. Cóż, że ten i ów malarz wybierze sobie zpośród miejscowej charakterystycznej biedoty modela lub modelkę? Cóż, że policjant miejscowy, Kubik, ratując Menę na bystrej i głębokiej fali, rozdarł trykot na jej biuście? Między modelem a malarzem nie przeskoczy ta iskra oudu, która niekiedy rzemiosło malarskie przeistacza w objawienie bóstwa. Niepokój zaś, w duszy sierżanta posiany przez dotknięcie nagich i zwięzłych kształtów wykwintnej dziewczyny, nie ma nic wspólnego z rozterką, usymbolizowaną tak wzniośle w kontraście między „czerwonym" a „białym" księżycem. Pocóż aż na wysokiem niebie szukać zwierciadła dla podniet tak ziemskich i naskórkowych?

Jeden z arbitrów naszej krytyki, uwiedziony malowniczą plastyką symbolu, usiłował wprawdzie, na przekór oczywistości, doszukać się w książce Kuncewiczowej „wspólnej nici powiązań między bohaterami tej zbiorowej akcji", jaka stawia obok siebie tubylców i przybyszów. Lecz sposób, w jaki to czyni, i wyniki, do których dochodzi, wykazują całą czczość przedsięwzięcia. W przygodzie sierżanta Kubika, tkniętego urokiem kąpiących się nimf, podkreśla on „rozkładowy wpływ swobody inteligenckiej na poczucie ładu wewnętrznego człowieka prostego". Tropiąc „wpływy rozkładowe" w duszy policjanta, surowy arbiter, mimowoli zapewne, pomylił rolę krytyka z funkcją nadinspektora policji, a co gorsza, funkcję tę podsuwa autorce. Jeszcze naiwniej owa rzekoma „nić powiązań" w ujęciu tegoż arbitra występuje na tle innej opowieści „Eksploracje", w której letnicy i chłopi reprezentować mają dwie wrogie klasy społeczne: letnicy są ździercami, chłopi miejscowi — ofiarami ździerstwa. Można kolonję malarzy, nawiedzających miasteczka lub wioski, „uważać" za plagę okolicy, ale żeby w takiej inwazji artystyczno-urwisowskiej, opisanej zresztą przez autorkę z pogodnym humorem, widzieć, jak chce krytyk, „zorganizowaną grabież", a w fajansowym kubku, wyłudzonym przez jedną z malarek od chłopki doszukiwać się aż symbolu wyprawy rabunkowych na kraje egzotyczne, to znów jest przesadą inkwizytora, który bezpretensjonalną humoreskę przerabia na barykadę walki klasowej.

IV.

Jedyną próbą nawiązania łączności głębszej, bo łączności duchowej, między światem jednego i drugiego księżyca, między obywatelami małego miasteczka a gośćmi ze stolicy mogłaby stać się postać Michała-ślepca. Mogłaby, gdyby... nie była przez Autorkę zwichnięta i zmarnowana.

Ten Michał, młody chłopak, syn gospodarski, niewidomy od urodzenia, lecz przez zamknięte powieki bystro patrzący na świat i zdający się widzieć rzeczy dla innych zakryte, jest sam przez się zarysem na ciekawą postać. Stawiony pośrodku między żywiołem własnego środowiska, które go odtrąca, a żywiołem wyobraźni, grającej w malarzach, którym ukazuje doniosłość rzeczy niewidzialnych, ślepiec ten zda się być przez Autorkę powołany do wyjawienia jakiejś tajemnej współzależności tych obu światów, jakiejś głębszej prawdy w ich obcowaniu z rzeczywistością. A przedewszystkiem, zda się on w sobie nosić moc, która daje mu władzę dźwigania się ponad swą tragiczną ułomność.

Okaleczały strasznem kalectwem ślepoty, nie poddaje się on niedoli swego upośledzenia. Nie upada na duchu i nie skarży się nikomu, gdyż czuje, że dopiero litość, wywołana skargą, położyłaby na jego oczy ociemniałe pieczęć beznadziei. Tę przepaść, jaka od innych ludzi go dzieli, chce on wypełnić nie darem cudzego pobłażania, ale nadmiarem swego wysiłku, ustawicznem napięciem wszystkich czuć i władz duchowych. Nauczył się rzeczy i ludzi rozpoznawać słuchem, nozdrzami, dotykiem, intuicją. Jakże rad był, gdy jakiemś odezwaniem się, trafiającem w sedno, sprawiał, że ludzie o kalectwie jego zapominali! Jakiż odnosił tryumf, gdy, mimo swej ślepoty, nie dał się oszukać tym, którzy zbytnio na nią liczyli! Jednego dnia, naprzykład, ciotka przyniosła mu twaróg piękny i tłusty, lecz z brzega nieco ukruszony. Michał odrazu cisnął go w gnój i obruszył się w gniewie: „Po szczurze dojadał nie będę". Baba, dodaje Autorka, ani pisnęła, zakręciła się na pięcie i odeszła. Michał cieszył się i śpiewał po tym tryumfie przez cały dzień.

Moment psychologiczny, jakże wybornie podchwycony! Ten ślepiec wyrzeka się prerogatyw, mogących płynąć z jego kalectwa, ale tem zawzięciej gotów jest walczyć o równość swego prawa. Wie, że równość tę zdobywać musi w każdej minucie dnia uporem i trudem nadludzkim, ale ten trud i upór stanowi najwyższą jego radość. Czy nie z takich prostych, równie naturalnych podstaw wyrasta wszelkie ludzkie bohaterstwo?

Lecz bohaterstwo w istocie swej jest to szereg prób i kryzysów, które wymagają przewyciężeń. I oto nadchodzi godzina próby dla Michała. Pasając konie na łąkach, chłopak dni i noce spędzał w gronie rówieśników, parobków i dziewcząt wiejskich. Garnąc się do ludzi z całych sił, nauczył się dużo gadać: kpinkował, opowiadał, śpiewał zmyślniej, niż drudzy. Z pośród dziewczyn wybrał sobie i „ulubił" jedną, imieniem Zośka. Dziewczyna była mu życzliwa, a przytem była sierota i zupełnie uboga. Pomyślał: właśnie kalece para, — i zwierzył się ze swych zamiarów ojcu; a gdy ten przyświadczył, Michał do reszty poweselał. Poślubi Zośkę — roił — założy rodzinę: alboż to nie będzie chłop, jak inni? Cieszyła go myśl o kobiecie, ale jeszcze więcej cieszyło go to, że małżeństwo ostatecznie dowiedzie jego równość i „zwyczajność" w obliczu świata. To poczucie równości szczególnej krzepiło go nocą, gdyż w mroku nocy każdy miał oczy ślepe i skrępowane członki. W ciemnościach nocnych Michał czuł się w swoim żywiole; dla tego za nocnem pasaniem przepadał. „Noc sprzyjała mu już nietylko, jako czas cichy, uszom podatniejszy i dla złości mniej sposobny niż dzień, ale nadto, jako sprawiedliwa pora. Wszystkich wtedy — bystrookich i ciemnych — równe spotykały bojaźnie, równego ognia wstydy".

Ale właśnie noc — ta pora łaskawa — miała go zdradzić i pokonać. W przededniu dnia, w którym Michał umyślił mówić ojcu o pozwolenie na ślub, nocą, ukazała się na niebie kometa. Gwiazda ognista z ogonem. Michał zawsze wyższy ponad swe kalectwo, nigdy ludzi o nic nie pytał. „Uszy miał tak bez ustanku wysilone ku wszystkiemu, co gdziekolwiek ludzie świadczyli, czy nazywali, że wiedza sama przychodziła bez pytań". Ale teraz uczuł się bezradny. Ludzie mówili o gwieździe, o świetle złowrogiem, o ogonie i Antychryście: tych rzeczy ślepiec nie umiał w żadną całość połączyć. Groźne, tajemnicze zjawisko obnażyło nagle jego niemoc, wyobcowało go z pośród ludzi. Powaliło go w proch i wydało na łup urągowiska. Podczas gdy on nie widział nic, wszyscy widzieli jego ślepotę. Z gniewem i wzgardą odtrąca go teraz wybrana „ulubiona" dziewczyna, w której on już widział swą narzeczoną: — „A pójdźże sobie precz, ślepa pokrako!"... Ścigany okrzykiem tym, jak klątwą, Michał uskoczył do rowu; szukając palicą, natrafił las i skrajem, skrajem pobiegł przed siebie bez duchu.

Pobiegł... dokąd? W tem pytaniu, w tym momencie, jakby w jednym skupiona ładunku, nietylko sztuka, ale cała filozofja Autorki staje na ostrzu noża.

Duszę Michała, cały bohaterski wysiłek tej duszy Autorka skierowała ku temu, aby ją wznieść ponad kalectwo. Michał, aby dorównać innym, taił się niemal ze swą ślepotą, jak z poniżającym sekretem osobistym. I oto sekret ten, brutalnie ujawniony, z podwójną teraz uderzył weń grozą. Przepaść, którą ślepiec z takim zasypywał trudem, aby wyrównać przedział, wyodrębniający go wśród ludzi, znowu rozwarła się u jego stóp. Czy runie w nią wraz z całym swoim heroizmem? Czy też znajdzie siły, aby się z niej odrodzić, a przynajmniej, aby jeszcze szukać ratunku i walczyć?

V.

Kuncewiczowa, która umiała tyle wytrwania, tyle dumy wlać w serce człeka, tyle zapaliła w niem nadziei, rwących się do słońca, teraz, gdy bohater jej doznał rozbicia, nie szuka już, nie widzi przed nim innej drogi poza różańcową drogą rezygnacji na łonie pociech zaświatowych. Bierze rozbitka za rękę i, po chwilowem błądzeniu odnajdując gościniec wydeptany przez Rodziewiczównę i Sienkiewicza, prowadzi go wprost do kościoła na sumę i na kazanie miejscowego proboszcza. Co więcej: w świetle tego pobożnego finału uzasadnionem wydaje się domniemanie, że Autorka, świątobliwą tknięta tradycją, jakgdyby tylko czekała w natchnieniu na pogrom swego bohatera, aby zdruzgotanego klęską móc rzucić na kolana przed Majestatem, wobec którego wszyscy są równi, bo wszyscy są jednako ślepi... Ślepi: Boga oglądać niezdolni.

„Michał — obwieszcza Autorka — zajaśniał, pełen wielkiej nowiny." Czuje się wprawdzie odtrącony, ślepy, sponiewierany, ale wespół z nim czyż nie są odtrąceni i wszyscy ludzie? I właśnie „za to odtrącenie powszechne — z rozrzewnieniem wyjaśnia Autorka — Michał umiłował Boga. Po sumie wyszedł głównemi drzwiami. Łeb zadarł do góry, przepchał się w kruchcie do kropielnicy, nie czuł wstydu — ślepych miał dookoła."

Biedny Michał! Zrazu, party siłami ducha, dążył wzwyż; pracował nad tem, aby dorównać tym, którzy stali ponad nim. Wstydził się swej ułomności i pragnął ją przezwyciężyć nakładem trudu, ofiary, wysiłku. Szukał równości nie przez obniżenie innych, lecz przez podźwignięcie się własne. Zdawało mu się, że to, co w człowieku jest boskie, bywa równoznaczne z okrzykiem: „wyżej!" z pędem do samodoskonalenia się i do pełni rozkwitu. Prostak! W kościele, od proboszcza, prawiącego kazanie, dowiedział się, że oprócz „równania ku górze" istnieje także „równanie ku dołowi", że zamiast samemu piąć się ku rzeczom niedoścignłym, można pociechy zaznać w nauce, która uświęca „powszechne odtrącenie" i wszystkich ludzi pospołu brata braterstwem ślepoty; w nauce, która nawet nędzarza godzi z jego robaczywym losem, ofiarując mu odwet i nagrodę w zaświatach.

Taką to nauką karmi Kuncewiczowa „jaśnieć" swemu Michałowi, gdy, po sumie, przepycha się w kruchcie do kropielnicy. Gdy dotrze do niej i lice w wodzie święconej umoczy, aby nie krzyż na czole i piersi nakreślić, krąg przyjaźni w duszy ślepca będzie dopełniony. Ucieje w nim duch, wyrywający się z pęt ułomności, a żyć odtąd będzie tylko symbolem ślepoty, zasklepionej i nawet ukojonej w wiecznym mroku. Wcieli się weń i zatryumfuje w tradycyjny wzór pokory transcendentnej, który tak znakomicie odpowiada interesom widokom ustroju społecznego, opartego na ujarzmieniu i wyzysku wszelkiej ślepoty, zaczadności i nędzy. Wzór, który sam zymową swej ugody z losem odrętwia i energję wszystkich upośledzonych, ich oczy i oślepionych kołysze snami równości w obliczu Boga, możnym zaś i wspaniałym pozostawia tryumfy doczesne, wmawiając w ubogich ślepców, że są to tylko i wyłącznie zawodne i znikome.

Nikt chyba Autorki „Dwóch księżyców" nie posądzi o to, że świadomie wspiera i wiarą religijną uświęca kolumny, na których hierarchja materjalnego interesu zakłada swe rządy w duszy ubogich i ślepych. Ale jakże znamienną dla pewnego odłamu współczesnej literatury polskiej jest rzeczą, że daninę możnym tego świata składa on nawet wtenczas, gdy wcale się tego nie domyśla. Sięgając do źródeł religji, trafia tylko na strumienie i strumyki, obracające młyńskie koła wyzysku i poniewierki. Maluje dreszcze, niepokoje, porywy i tragedje ślepców, a jakże często właśnie sam kładzie się bielmem i pleśnią na ich oczach. Chce znaleźć Boga, a nie wie, czy ma szukać w nim dźwigni wysiłku, wiodącego ku światłu, czy też pieczęci bezwładu, utrwalającej beznadziejność na nizinie mroku.

BRONISŁAW LUDWIK MICHALSKI

DO GRUSZY

W nurt melancholji czerń twa żywa
z pól w szumne miasto szeptem
ścieka —
czyż tak krew nocy rosochatych
trwogą rozprysła w żyłach,
łzą na samotnych powiekach?...

Że słyszę lament ramion twych,
plusk westchnień w brzeg pagóra,
skąd tchnęło miętą poprzez osty,
a dzień jak kogut w złotych piórach
przez palmy świtu, snu paprocie
wiódł mnie poza wieś, wiódł mnie do
cię...

Żeby wyrosłą ponad drogą,
rozkonarzoną w kształt szeroki
objąć cię miłującem okiem —
wśnić się w jedwabne fletnie liści,
w dzwony dzwoniące za kotarą
sczerniałej miedzi twych konarów...

Żeby cię kwiecistością srebrną,
kiedy w nieboskłon sennie prószysz
zbudzić, przemówić jak do gruszy:
— G-r-u-s-z-o!

Że aż tam niebo zakipiało
i uderzyło w bęben wiatru
i obłok zagrał na obłoku —
a pastereczka twarzą białą,
ócz fijołkami, suknią w kwiaty,
cała rozwiała się w uroku.

To wtedy korzeniami twemi
rozdarłem gęsty cień próchnicy,
żeby posłuchać pieśni ziemi,
pod pieśnią zgiąć się jak pod biczem.

I odtąd nie odnajdę w słowie
tego, com widział w pniu i pędach:
— stada pachnących, białych owiec,
gdy wiosna kwiaty z nich ci
przędła, —

Ni stuku podziemnych kowali
w pajęczo-gwiezdnych, groźnych
kuźniach —
ni szeptu, który mnie zapalił,
choć w różokrzewach łka, nie
w ludziach.

Dlatego tląc tej wiedzy manną,
wplątany w ten mój świat bezdomnie,
wiem — jak inaczej tęsknisz za mną,
wiem — jak twych wołań kwitnie
płomień.

Ale ja wrócę, wrócę kiedyś
tam — za tę karczmę wywalichę,
do wsi gdzie szaro-zgrzebną biedę
obtańcowuje wściekle wicher.

Może w cudacznie wonny wieczór
śmiech mój zatoczy się jak szerszeń:
— przyjadę na tym wierszu,
— powrócę tylko wierszem.

Następny numer **PIONU** zawierać będzie m. in. pierwszą część pracy dr. Jana Dürra o **„Podróży Wyspiańskiego po Szwajcarji"**, wraz z tekstem **„Dziennika podróży"**, odnalezionego w rękopisach po St. Wyspiańskim. Pozatem w najbliższych tygodniach **PION** przyniesie m. in.: specjalny numer poświęcony **Adolfowi Dygasińskiemu**, zawierający m. in. niedrukowaną Jego nowelę p. **„O pocałunkach"**. — Miriama: przekład poematu **Claudela: „Muzy"**. — **Dr. St. Vinnza: „Legendę o Wielitach"** — fragment z większej pracy p. t. **„Dawność Starowieku"** — **Jana Wiktora — „Pochwałę szkoły polskiej"**. — **Ant. Wildera: — „Marszałek Trybunału litewskiego Fr. Piłsudski i losy jego planu portu pod Połągą"**.

Wreszcie — w końcu czerwca **PION** rozpoczyna druk jednego z ostatnich dzieł **CONRADA: „ZWIERCIADŁO MORZA"** w przekładzie **Anieli Zagórskiej**.

JERZY LIEBERT

SERDUSZKO MARJI

POETA, WYDAWCA I KRYTYK

Co za dzień! Co za dzień! Jaką piękną mamy pogodę, wykrzykiwał Marceli Herminius usadowiony w wygodnym fotelu, którego oparcie niemal całe kryło się w liściach dzikiego wina, oplatającego werandę. „Serduszko Marji" jest w tej chwili najbardziej uroczym zakątkiem pod słońcem. Prawdziwym błyszczącym djamentem. Prawda przyjacielu?

— Istotnie, pogoda jest zachwycająca, urocza, odpowiedział głośno z ogrodu Horacy Marks, zajęty właśnie strząsaniem zapomocą grabi, wysoko rosnących orzechów laskowych. Gdyby nie ta piekielna jazda wehikulem, gotów byłbym zapomnieć o wielkim świecie. I te kołnierzyki, o jeden numer zamałe, dodał czerwony i zgrzany usiłując napróżno wskazującym palcem rozluźnić wysokie, sztywne opakowanie szyji.

— Mówiłem ci przecież, żebyś jadąc tutaj zabrał ze sobą koszulę z wykładanym kołnierzem, a ty zamiast słuchać mych rad, skaczesz jeszcze dookoła drzewa z grabiami w ręku. Gdyby cię ktoś ujrzał na ulicach Marji, pląsającego z tym dziwnym przyrządem, o Horacy, wierz mi, reputacja twoja byłaby stracona.

— Tak, być może, masz rację, powiedział nagle zniechęcony pan Marks, i usiadłszy na stopniach werandy dodał z wyrzutem. Jednak ty Marceli masz okrutny sposób zabijania we mnie radości. Psujesz mi najpiękniejsze dzieło mego życia: zabawę. Przypomnij sobie, dwa lata temu, gdyś mnie spotkał po raz pierwszy na bankiecie wydanym przez Akademję Nieśmiertelnych w Marji, z okazji uczczenia tego idjoty Ramberga, krzyknąłeś mi nad uchem: — panie wydawco, Horacy Marksie, piegi na pańskim nosie są doprawdy potworne. — O Marceli, upudrowałem nos, ale wierz mi, że już owego wieczoru nie potrafiłem ocenić piękności panny Kleopatry, ani sztucznych gwiazd w salonach Akademji. Myliłem się co krok w kadrylu.

— Nigdy nie przypuszczałem drogi Horacy, iż te drobiazgi sprawią ci taką przykrość. Ale właściwie gdzie podziewa się pan Rajmond?

Obydwaj panowie zaczęli bezradnie spoglądać wokoło, jakgdyby Rajmond Glück był tym zaczarowanym fletem przezornie ukrytym na obrazku przed oczyma dzieci.

— Wracając jeszcze do twych piegów, powiedział wolno Herminius, dam ci świetne lekarstwo. Wyciśnięta z pokrzyw ciecz jest niezawodnym środkiem na plamy od światła słonecznego. Gdybym miał piegi na nosie używałbym tylko tego lekarstwa.

— To zadziwiające, z jakim spokojem mówisz o wyciskaniu cieczy z pokrzywy. A jednak burmistrz Marji używa zupełnie innego środka. Informował mnie, że okładanie nosa kożuchami z mleka...

— Jakże łaskawe niebo dla mnie, że mogę tak piękną pogodą przyjąć dzisiejszych gości — odezwał się nagle głos Rajmonda Glücka, który wychodząc na werandę z mieszkania trzymał w prawej ręce szklany dzban napełniony do połowy wodą, w lewej zaś napoczętą cytrynę.

Zapewniam was panowie, że nad „Serduszkiem Marji" czuwa Gwiazda przewodnia. Myślę, że Opatrzność podarowała mi ten rąbek niebios niezasnutych nigdy chmurami. Oglądaliście panowie ogród?

— Tak, powiedział Herminius, byłem do tej pory nad jeziorkiem, a Horacy zrywał orzechy. Teraz od paru minut czekamy na pana.

Glück postawił dzbanek na marmurowej płycie małego okrągłego stolika i wyciskając do wody żółte krople cytryny mówił.

— W Marji, zapewne panują upały. Lato w tym roku jest piękne. Czy nie ma pan wrażenia panie Marksie, że znajduje się pan w ulu?

— Szczególnie w niedzielę ul ten zaciska się wokoło mnie, rzekł zmęczonym głosem Horacy, podnosząc się ze schodków werandy. Czy nie ma pan, poeto, chustki, zwykłej chustki do nosa?

— Doskonale, zawołał Glück, przyniesie pan odrazu trzy szklaneczki z kredensu. Chustki są w komodzie, na prawo. — Odłożył cytrynę na bok i stołową łyżką począł mięszać płyn w dzbanku. — Co słychać nowego panie Marceli?

— Przecież u licha, bywa pan chyba w Marji od czasu do czasu.

— Właściwie nie, docieram tylko do przedmieścia. Pani Walerja Kora zabiera do sklepu moje jarzyny, zawracam wózek i pędzę z powrotem do „Serduszka Marji".

— Kora, rzekł Herminius unosząc się na fotelu, to ta gruba sklepiczarka. Nienawidzę tej kobiety.

— O, zaprotestował Glück, to bardzo mądra niewiasta.

— Czy pan wie, gorączkował się Herminius, że po wydaniu ostatniej książki Filipa Forela, jego świetnych „Elegij", Akademja Nieśmiertelnych postanowiła na skutek mojej krytyki, przyjąć go do swego grona. W dniu uroczystego posiedzenia, Walerja Kora zebrawszy miejską gawiedź zaprotestowała przeciw temu, na placu przed gmachem Akademji. Wygwizdano Forela, jego „Elegje", moją krytykę. Akademja nie ustąpiła i Forel został przyjęty do grona Nieśmiertelnych, gdy jednak ukazał się na placu, ta wściekła kobieta zbiła go ręcznikiem.

— Ręcznikiem? — zapytał ze zdumieniem Glück.

—Tak, ręcznikiem — dodał wchodzący Horacy. — Na jego małej, łysej głowie lśniła kraciasta chustka, której wszystkie cztery rogi, związane były na supełki. Ustawił szklaneczki obok dzbanka i zawyrokował — możemy pić!

— Wielka szkoda, odezwał się po chwili Herminius, łykając powoli płyn, że pan, panie Rajmondzie zakopał się tu na wsi. Nawet sam burmistrz dowiadywał się o pana, w biurze adresowem. Nikt bowiem nie wie, oprócz nas dwuch, że to właśnie Rajmond Glück siedzi w „Serduszku Marji".

— Tak, w „Serduszku Marji" gdzie jest tyle czystego, suchego powietrza, zawtórował Marks.

Dzbanek opróżnił się. Glück odstawił go na ziemię i rozłożył ręce na stoliku.

— Nie może być inaczej. Słusznie mówi Herminius. Ostatnia wyprawa geologów z zawodowym podróżnikiem na czele, stwierdziła, iż powierzchnia ziemi nie posunęła się ani o piędź w kierunku przeciwległego brzegu. Przepaść pozostała przepaścią. Oprócz błękitnej warstwy powietrza, nic, ani naprzeciw, ani w dole.

— A jednak, rzekł powstając z fotelu Rajmond Glück, z poddasza w „Serduszku Marji", w dzień pogodny i czysty każde oko dostrzeże brzeg przeciwległy.

I pierś poety wzniosła się w spokojnym oddechu, a czoło rozjaśnił blask słońca.

— Pozwólcie panowie, zwrócił się do wydawcy i krytyka, którzy nieruchomi wpatrywali się w niego, myślę że widok ten będzie dla was miłym, nie chciałbym powiedzieć ciekawym.

Okrążyli dom i po stromych, wąskich schodkach wdrapali się na górę. Zapach rozgrzanego drzewa mieszał się z wonią

Rys. K. Libina

. . . dostrzegli w dali wzniesienie łagodne, falujące jak brzeg łąki nad strumieniem powietrza.

— Więc doprawdy panowie, tyle zmian zaszło w Marji od czasu mojej ucieczki na wieś. To ciekawe, jak urządziliście się po moim wyjeździe? Czy prawa municypalne Marji są zagrożone?

— Ach nie, burmistrz Koop żyje w jaknajlepszej zgodzie z urzędem miejskim, zwiększono oddziały wojska, wystawiono pomnik wolności naprzeciwko kościoła św. Aleksandra. Tylko... tu Herminius spojrzał znacząco na Horacego, — wydajemy encyklopedję powszechną, trzydzieści tomów.

— Trzydzieści, powtórzył Glück, to bardzo piękna liczba.

— Wiadomość o tem wydawnictwie wstrząsnęła murami Marji. Będzie to pomnik, którym wydawnictwo Horacego Marksa i Ski uczci epokę pięcioletniego panowania burmistrza Koop'a i pięknej jego córki, panny Kleopatry.

— O przyjaciele, na twarzach waszych maluje się wzruszenie, w głosie twoim panie Marceli Herminiusie dźwięczy nuta młodzieńczego zapału. Obiecuję wam, gdy pierwszy tom tej edycji ukaże się w świetle dziennem, „Serduszko Marji" przyozdobione zostanie barwami naszego miasta i godłem „Akademji Nieśmiertelnych", których członkiem uczyniliście mnie tak łaskawie.

Krytyk i wydawca uścisnęli w milczeniu dłonie poety.

— Jednakże pozwolicie panowie, iż zapytam... i tu oczy Rajmonda Glücka jak dwie chmurki blado niebieskie przepłynęły po twarzach gości... sprawę najdonioślejszą dla was i dla mnie, dla burmistrza Koop'a i jego pięknej córki Kleopatry, dla mieszkańców Marji małych i dorosłych — panowie, czy zawsze koniec świata znajduje się o milę drogi od Marji, i czy próby przedostania się na brzeg przeciwległy zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Zapanowało milczenie. Herminius patrzał w ogród, który wrzał i tryskał jak fontanna, gorącą zielenią, cieniami i gwarem pszczół.

— Nie, odpowiedział zamyślony, ale dziwi mnie, że pan o to pyta. Jest to rzecz pospolita i wiadoma wszystkim. Nie może być inaczej.

Horacy przetarł binokle, poprawił nakrycie głowy i zdejmując marynarkę, która kryła jego pulchną figurę uśmiechnął się do Glücka.

świerków, które rosły w południowej części ogrodu.

— Oto, rzekł Glück otwierając malutkie okienko, oto spojrzyjcie proszę, brzeg przeciwległy.

Głowy Herminiusa i Marksa zniknęły natychmiast w otworze. Na tle czystego nieba, wyprężonego jak skrawek delikatnej materji dostrzegli w dali wzniesienie łagodne, falujące jak brzeg łąki nad strumieniem powietrza.

— Glück, odezwał się nagle Herminius, ależ to wieńce mirtowe i laurowe, czy widzisz jak kołyszą się, łączą i rosną?

Wpatrzeni w przestrzeń tamowali rozgorączkowane oddechy.

— Glück, zawołał znów Horacy Marks chwytając jedną ręką Rajmonda, a palcem drugiej wskazując przesuwające się pod ruchomą girlandą wieńców, wielkie przezroczyste promienie, których cień kładł się wyniośle na sklepieniu niebieskiem, pan wie zapewne. To aniołowie, prawda?

I z dziecinną bezradnością powtórzył — pan musi wiedzieć. To aniołowie. Prawda? — Odpowiedz pan.

Wysunął głowę i nagle podniósł ją z taką szybkością, iż z całej siły uderzył czołem o framugę okienną. Prawą ręką pochwycił binokle, lecz uderzenie pozbawiło go nakrycia głowy. Wydęta powietrzem płócienna półkula, spłynęła wolno na krzak bukszpanu i powiewała na nim leniwie.

— Aparat fotograficzny, ryczał Horacy Marks, chwytając się za czoło. Glück przynieś pan swój aparat fotograficzny. Raz nareszcie zdejmiemy niebo w całej okazałości. Skradniemy, urzeczywistnimy nasze marzenia. Burmistrz... Glück przynieś pan aparat, prosił już cichutkim głosem, obejmując poetę. To przecież chwilka. Jedno jedyne zdjęcie.

— A, powiedział Rajmond Glück, patrząc zdumionym wzrokiem na wydawcę, nigdy nie przypuszczałem, iż zechce pan fotografować niebo. Niestety ostatnią kliszę zużyłem przed dwoma tygodniami na sfotografowanie męża Walerji Kory, który w tym czasie podupadł na zdrowiu i czuł się słabo.

Zresztą moi panowie, uprzedzam was, że nie zgodzę się nigdy i nie pozwolę w żadnym wypadku na to zdjęcie. Panie Horacy, pan płacze?

— Przepraszam pana, wmięszał się Herminius przemierzając nerwowym krokiem

podasze, dotykając głową dachu, — zgodzi się pan, że to niebo należy nietylko do pana, ale i do mnie, do Horacego, do burmistrza Koop'a i panny Kleopatry, wreszcie do wszystkich mieszkańców Marji małych i dorosłych.

— Racja, zgodził się Glück, ale „Serduszko Marji" należy do mnie.

— Jednakowoż widoki, które podziwiać można z pańskiej posiadłości nie należą wyłącznie do pana.

— Drogi krytyku, dochodzimy w ten sposób do nierozsądzonego nigdy zatargu. Przypomina pan sobie może, ową historję starożytnego osła i jego cienia.

— Tak osła i jego cienia, powiedział Herminius, ale niebo należy do wszystkich.

— Do wybranych, poprawił Glück, zresztą postaram się panu wytłómaczyć, dlaczego nie pozwolę fotografować przeciwległego brzegu.

Herminius siadł na podłużnej skrzyni, mieszczącej w sobie przybory ogrodnicze. Horacy zaś ustawił się poza nim stylu.

— Zgodzicie się panowie, że świat skurczył się do obrębu Marji. Któż zada sobie ten trud, aby wyruszyć na poszukiwania nowych lądów, poza mury naszego miasta. Horacy i pan? Zgaduję, że przybyliście do mnie z zupełnie innych powodów. Okręty i żaglowce kołyszące się na pełnem morzu, przybiły do portu. Ten port jest ostatnim. Ale, szanowni panowie, o milę na południe pozostała przepaść niewypełniona niczem. Wasza wyobraźnia łaknąca jakichkolwiekbądź konturów zgaduje tam brzeg przeciwległy. Coprawda, możnaby wykonać ostatni skok z zamkniętemi oczami, narażając się jedynie na utratę przytomności. Ale któż wam zaręczy panowie, że skok się uda, że macie dość siły w nogach, by odbiwszy się od ziemi nagle odkryć progi nieba.

Zatem panie Herminius pozostaje marzenie, marzenie najbardziej pokrzepiające, bo nie urzeczywistnione nigdy.

— Więc pan, powiedział poważnie Herminius, wyklucza istnienie na ziemi Królestwa Bożego.

— O, nie, ale to przecież pan musiał się drapać po schodkach, aby je ujrzeć. Nie objawiło się ono panu np. podczas jazdy wehikułem. To, drogi panie, jest zasadniczem prawem Królestwa Bożego na ziemi.

A teraz przypuśćmy, że udało się panom sfotografować widok z mego okienka. Niebo — stanie się wówczas tak pospolitem i małem jak wypełniona powietrzem chustka Horacego, powiewająca niczem dziecinna chorągiewka na bukszpanach. Czy wówczas piękna Kleopatra, tak często rozmyślająca pod arkadami ojcowskiego pałacu o życiu przyszłem, będzie wierzyła w niebo. Czy znajdzie czas na rozmyślanie o niem?

— O, rzekł uśmiechając przez łzy Horacy Marks, panna Kleopatra i tak pójdzie do nieba.

— Czy pan, panie Herminiusie, ciągnął dalej Glück, nie będzie uważał wówczas, że powiedzenie pańskie „poeta Forel jak gałąź pachnąca nagina ku nam niebo" jest banalne i niepotrzebne. A któż będzie czytał pańską encyklopedję, panie Horacy, gdy obok ustępu: Niebo w znaczeniu chrześcijańskiem jest miejscem pobytu Boga wraz z aniołami i Jego wybranymi, miejscem wiecznej szczęśliwości, która przypada sprawiedliwym po śmierci ciała... — umieści pan fotografię oryginalnego nieba, sfotografowanego w „Serduszku Marji".

Zapewniam was panowie, iż poeci wyklną, wyprą się nazawsze tego słowa, a wikary pochłonie w ziewaniu wyrazy Ojczenasza i Zdrowaś Marji. Nie będzie już nieba.

— Tak, powiedział Herminius, a Horacy uczynił gorączkowy ruch ręką, to wszystko jest bardzo rozumne. Ale o co panu właściwie chodzi?

— O co mnie chodzi, wykrzyknął Glück i stanąwszy w oknie zasłonił wszystko, tak iż na podaszu uczyniło się ciemno, o co mnie chodzi? O kościół św. Sebastjana w Marji i o wasze spotkania w nim podczas porannych modlitw.

Chcę, by panna Kleopatra jaknajczęściej rozmyślała o życiu przyszłem, aby poeci odkrywali niebo napróżno, a tęsknili do tego które kryje się pod mozaiką złota, srebra i cynobru, — aby pan podziwiał ich dzieło, Horacy, który płacze na jego widok uśmiechał się na myśl o niem, wikary, aby modlił się do niego...

— A pan, — zapytał nagle Herminius tonem, który zdawał się orzekać, iż pytanie owo jest w tej chwili rzeczą najdonioślejszą.

Glück jakby zmięszał się. — Ja, rzekł, właściwie zapomniałem o sobie. Myślę, że wam to wyznaczałem role. W istocie co do mnie wyszło mi z pamięci. Ja właściwie... powinienem przygotować dla was obiad. — Z uśmiechem zbliżywszy się do wyjścia począł zwolna zstępować po schodkach.

Wówczas stała się rzecz nadzwyczajna. Horacy Marks poczerwieniał, nachylił się i opierając się na ramieniu Herminiusa krzyknął w ślad odchodzącemu Glückowi. — A czy pan, panie Glück przypuścił tę możliwość iż burmistrz Koop mógłby siłą wy-

Rys. K. Libina

— Więc? — podchwycił Herminius z godnością, jaką nadawał jego osobie świetnie skrojony strój żakietowy.

móc na panu zgodę dopuszczenia fotografa do tego okienka. — I obydwaj zamienili się w słuch ściskając sobie dłonie.

— Czy i wówczas — posłyszeli głos, który niewiadomo czemu przejął ich nagłą trwogą i bojaźnią, — czy i wówczas drogi wydawco, gdy uprzedzę go z całą serdecznością, iż może przypadkowo ujrzeć to, co niedane mu będzie oglądać nigdy. Nigdy... panie Horacy. To słowo ma swoją idealną rozciągłość.

— — — — — — — — — — — — — — —

Było już dobrze po południu, gdy panowie Horacy, Herminius i Glück kończyli na werandzie obiad. Dzień jednak, niby wypełniona gorącem powietrzem bania kryształowa, nie utracił do tej pory ani trochę swego żaru. Na werandzie było duszno. Oprócz Herminiusa wszyscy zdjęli marynarki, a Glück zawinął rękawy koszuli do łokcia.

Kończmy z tem — rzekł podnosząc butelkę wina i rozlewając je w szklaneczki. — Czy panu może czarnej kawy, zwrócił się do Horacego, gdy ten odsunął szklaneczkę. Horacy zaprzeczył ruchem głowy.

— Ja, rzekł powstając, potrzebuję ruchu. Roztapiam się. I wyciągnąwszy z kieszeni maleńkie nożyczki obciął niemi koniec przygotowanego cygara. Za chwilę począł puszczać kłęby dymu w nagrzane słońcem liście dzikiego wina.

— Więc pan, panie Rajmondzie, rzekł Herminius zagłębiając się wygodniej w fotelu i nie zwracając najmniejszej uwagi na swego stopniałego przyjaciela, — pan zwalcza Cezarego Papon i jego hasła skierowane przeciw rządom burmistrza Koop'a.

— Zwalczam? Ach, cóż panu przyszło do głowy, rzekł Glück, ja nie znam wcale Cezarego Papon, a jego hasła są mi zupełnie obojętne.

— Czy jednak, opozycja sama w sobie nie budzi w panu ani trochę ciekawości?

— Opozycja, jako sama w sobie. Przestałem w nią wierzyć. Myślę, że istnieje jedynie opozycja Cezarego Papon.

— Tak, wykrzyknął zdumiony Herminius, więc tem samem przekreśla pan swoją dotychczasową twórczość.

Horacy, palący dotychczas cygaro z całym spokojem, odwrócił się nagle: — ostrzegam pana, iż książki pańskie wydawałem ja. Niech się pan liczy z odpowiedzią.

— Moje książki, mówił wolno Glück, tak rozumiem panów, to była jedynie opozycja Rajmonda Glücka, zamieszkałego w Marji.

— Więc? podchwycił Herminius z godnością, jaką nadawał jego osobie świetnie skrojony strój żakietowy.

— Dla was drodzy panowie, powiedział Glück, książki moje istnieją. Dla was, panowie, jedne książki można jedynie przekreślić następnemi. Ujmując tak sprawę, opozycja Rajmonda Glücka zamieszkałego w Marji istnieje.

— Więc tak, odetchnął swobodnie Horacy i nowy kłąb dymu zerwał się z ust jego i popłynął w ogród, rozpływając się leniwie wśród drzew. Dziwi mnie to, mówił z rozbrajającą prostotą, choć ja sam nigdy nie czułem buntu, czy czegoś podobnego, w stosunku do świata, wogóle od dziecka nie wyobrażałem sobie, iż można protestować przeciw życiu, mimo to jednak jestem zdziwiony, że pan jako poeta może się godzić na wszystko.

— Na co? zapytał cichutko Glück.

Horacy uczynił ręką gest, który miał zapewne oznaczać: świat, życie, ludzi i przypuszczalnie — miłość.

— Rozumiem, powiedział Glück. Przysunąwszy się bliżej do stołu zwrócił się do wydawcy i krytyka.

Przypominacie sobie panowie tę maleńką winiarnię przy ulicy Gotfryda Kellera. Cztery lata temu gdy dzisiejszy burmistrz Koop poniósłszy klęskę przy wyborach, zdecydował się jednak opanować miasto siłą, w winiarni tej usadowił się zarząd grupy opozycyjnej. Byli to przeważnie zakorzeniali wywrotowcy, proszę panów.

Pewnego wieczoru, gdy na zebraniu partyjnem rozpatrywaliśmy sprawę utopienia nadwornego poety Emila Bigota w basenie ogrodu burmistrza, na znak protestu przeciw jaskrawej i ordynarnej przemocy, milicja Koop'a wtargnęła do winiarni.

Wyskoczyłem, szanowni panowie, przez okno wychodzące na ogródek i uciekałem opanowany nieopisanym strachem, mimo że przewodniczący krzyczał za mną w ciemność o solidarności i powinności wytrwania na stanowisku. Na godzinę przed tym wypadkiem przeszła nad miastem burza, wspaniała, hucząca z błyskawicami. Pędząc przez ogród czułem jeszcze na twarzy krople wody opadające z drzew. Mózg mój, panowie, zmienił się w parę oszalałych nóg, pracujących jak motory, furkoczących, łamiących dźbła traw i krzewy. Myślę, że nie byłem nigdy bliżej stanu człowieka nienormalnego. Myśl, która od czasu do czasu wpadała do głowy była pusta. Dla większej plastyki powiem panom, iż później przedstawiałem ją sobie, jako szklaną dość ostrą rurkę, zakończoną ślepo. Bojąc się, że oszaleję postanowiłem tę pustą myśl wypełnić czemkolwiek. Pędząc liczyłem głośno gwiazdy. Gdy przelazłszy przez murek znalazłem się na uliczce Serc Bogobojnych, jak wiecie panowie cichej już zupełnie o tej godzinie, z przerażeniem posłyszałem odgłosy zbliżającej się pogoni.

Ścigając się z murem uczułem nagle, iż mózg mój zamieniony do tej pory w parę nóg, poczyna zwolna podnosić się do góry i najspokojniej osiada w prawej kieszeni marynarki.

Ręka automatycznie podążyła w tym kierunku. Oczywiście była to proklamacja drukowana na chropowatej, czerwonej bibule, wzywająca wszystkich mieszkańców do walki z Koop'em. Ugniatałem ją w ręku powoli, aż przybrała objętość włoskiego orzecha. W tej chwili mur skończył się, a ja włożyłem kulę czerwoną do ust. Chwytając oddech skoczyłem w bok i przystanąłem, właściwie usiłowałem przeniknąć drewniane ściany narożnego kiosku z wodą sodową. Mając kulę ognistą w przełyku patrzałem z rozpaczą na wznoszącą się nad miastem pełnię księżyca. Tymczasem patrol przebiegł koło mnie i roztopił się w nocy. Kula została połknięta.

— A czy nie wie pan przypadkiem, co stało się z pozostałymi członkami sprzysiężenia? — zapytał Herminius.

— Nie, mówił dalej Glück, zawróciłem i najspokojniej przebyłem ulicę Serc Bogobojnych. Najsprytniejszy agent Koop'a nie poznałby z mych zrównoważonych gestów, człowieka, który nosi w swem wnętrzu rozpaloną kulę buntu.

Do winiarni nie chciałem wracać. Zanadto szybko przebyłem tę drogę, abym miał ją w owej chwili przemierzać spokojnym krokiem.

Była już prawie północ. Z ogrodów płynęły zapachy kwiatów i drzew, powietrze było czyste, napełnione wilgocią i chłodem ziemi.

Północ biła, gdy znalazłem się na placu Tryumfalnym, przed ratuszem. Wówczas, o panowie, poczułem, że czerwona kula poruszyła się we mnie, a rozmiary jej przybrały kształt dziecięcej dłoni. Bezwątpienia połknięta przeze mnie proklamacja poczęła się rozrastać. Od dnia owego drodzy panowie, obserwowałem w sobie zachodzące zjawiska rozwoju tego dziwnego tworu.

Po dwuch latach, gdy bunt i protest przeciwko światu doszedł we mnie do rozmiaru wielkiego jabłka postanowiłem za wszelką cenę wydobyć go na światło dzienne.

Niestety, potwór ten rósł we mnie z przerażającą szybkością, osiągając już wielkość balonika dziecinnego, — kto wie czy przez oczy moje nie wyglądały już jego czerwone, wydęte policzki.

Stałem się niebezpiecznym opozycjonistą, niby napięta struna łuku z którego każdy człowiek mógł wypuszczać strzały w kierunku burmistrza Koop'a.

W tym właśnie czasie, osiadłem na jeden miesiąc w „Serduszku Marji". Po nieprzespanej nocy, z rozpaloną głową i z dymiącą już bombą w sobie, wyszedłem rankiem do ogrodu. Czekałem z niecierpliwością zbliżającego się już wybuchu. Niebo, szanowni panowie, było owego poranka wysoko, a z południowej strony wiał ciepły zapach kwiatów pomarańczowych.

Żądza niszczenia doszła do punktu kulminacyjnego. (Bowiem, panowie byłem niebezpiecznym opozycjonistą.) Przechadzałem się tymczasem po ścieżkach ogrodu tam i z powrotem, i liczyłem upływające minuty. Herminius, jeżeli oglądał pan dobrze ogród, to niewątpliwie nie uszedł pańskiej uwagi ten wielki, granitowy kamień z napisem „Tu siadywało wielu ludzi".

Przeznaczenie chciało, że owego poranka zatrzymałem się przed tym kamieniem.

Na jedną chwilę zapomniałem o swej postawie wobec życia.

I oto panowie, czerwona proklamacja, która wypijała moje soki życiowe skurczyła się nagle do objętości pięści. A później coraz szybciej poczęła przyjmować kształt jabłuszka, orzecha, paznokcia, pajączka, wreszcie główki od szpilki i nakoniec poczułem w sobie idealną próżnię.

Odetchnąłem ostrożnie i spróbowałem czy mogę biegać z dawną szybkością.

Przyjaciele, to był piękny bieg, pośród zielonych drzew, nad brzegami jeziora.

Panowie, ja nie byłem urodzonym opozycjonistą — i Glück potrząsnął triumfalnie serwetą — dlatego postanowiłem zamieszkać stale w „Serduszku Marji".

— To bardzo pięknie, powiedział Horacy poprawiając jedwabnego motylka przy kołnierzyku i odrzucając cygaro w głąb ogrodu, najciekawszem jest kto wyrył owe słowa na granitowym kamieniu.

Nastąpiło milczenie. Nagle Herminius uniósł się z fotelu i powiedział marszcząc czoło.

— To ja, panowie, to ja wyryłem niegdyś owe słowa na granitowym kamieniu. Do mnie należy cała zasługa.

— O, wykrzyknęli naraz poeta i wydawca. Więc to pan. Cóż za zbieg okoliczności.

— Nie, rzekł Herminius z godnością, nie jest to zbieg okoliczności. Są to wyroki przeznaczenia, które nakazują mi zawsze ryć na garnitowych kamieniach przestrogi, podobne do tej, którą pan wyczytał na swoim kamieniu.

— Tak, rzekł zamyślony Glück, gdyby nie ten napis, nie przeszłoby mi przez myśl, że na tym kamieniu mogło siadywać wielu ludzi. To pańska zasługa, Herminiusie.

Horacy tymczasem zakręcił się niespokojnie i nagle z coraz większą szybkością począł przebiegać werandę. Na obliczu wydawcy lśniły krople potu i malowało się zniechęcenie. Twarz jego stała się purpurowa. Z trudnością chwytał powietrze.

— Ja właściwie, rzekł stanąwszy przed Glückiem, przybyłem po pańskie nowe książki. Umowa nasza wygasła przed miesiącem. Wybaczy pan, ten upał piekielny nie pozwala mi dłużej na ukrywanie jedynej myśli, która sprowadziła mnie tutaj, tym trzęsącym wehikułem. — Ja, drogi panie, odczuwam upał, mówił wzruszony, pan rozumie, że w tym stanie trudno jest nie przystąpić do interesu. — I jego małe, czarne oczka spoczęły przenikliwie na Herminiusie.

— Właściwie, rzekł Herminius, podnosząc się i stając przy Glücku, właściwie ja również przybyłem do pana w interesie. Rachunek pańskiego sumienia, pan rozumie.

Glück spojrzał na nich zdziwiony. — Jakto, rzekł, od chwili gdy przeczytawszy pańską sentencję na granitowym kamieniu zamieszkałem w Marji, nie wziąłem pióra do ręki. Czy pan o tem nie pomyślał?

Horacy zbladł. Herminius zachował jednak swą wyniosłą postawę.

— Zdaje się, że pan, panie Glück zapomniał o swoich zobowiązaniach, któreś poczynił wobec krytyka i wydawcy. Czy pan rozumie, co to znaczy być członkiem Akademji Nieśmiertelnych.

— Wiem, odpowiedział prędko Glück, ale ja, ja panowie jadam rzodkiewki z naskórkiem.

— Z naskórkiem, ryknął Herminius i uderzył pięścią w stół, aż zadźwięczały wszystkie naczynia. Co pan przez to rozumie?

— Tak, tak, krzyczał ośmielony Horacy, co znaczą tu, te rzodkiewki z naskórkiem. Pan wyraźnie zakpił sobie z nas.

— Drodzy panowie, zapewniam was iż dług zaciągnięty wobec Akademji cięży mi na sercu. Ale doprawdy mam tak mało czasu, panowie rozumieją, praca w ogrodzie, na polu, w stajni. Nie podobna myśleć o rzeczach tak poważnych.

— Ale co znaczą rzodkiewki, pytał groźnie Herminius.

— Ponieważ myśl moja pracuje najintensywniej — ciągnął Glück podczas najprymitywniejszych zajęć, postanowiłem rozwiązywać sprawę moich długów wobec panów i Akademji, właśnie podczas obierania rzodkiewek. Napozór moi panowie, dłubię nożykiem roślinkę, ale w istocie myśl zakreśla wówczas szerokie przestrzenie.

Niestety moi panowie, dodał ze smutkiem, jadam rzodkiewki z naskórkami. Nie mam nigdy cierpliwości obrać ich do końca. — I podniósłszy się z fotelu stanął między krytykiem a wydawcą patrząc uważnie w przestrzeń. W odległości dwuch kilometrów, po drodze spadającej jak strumień z lekkiego wzniesienia powierzchni, toczył się leniwie niewielki obłoczek kurzu.

Glück rozsunął szerzej liście dzikiego wina i wpatrując się w rosnący punkcik zauważył: czyżby zbieg okoliczności? O nie drodzy panowie, oto jest również przeznaczenie.

— Tak, powiedział Herminius, obciągając poły żakietu, to przedostatni wehikuł do Marji.

Wobec takiego stanu rzeczy odjeżdżamy tym ekwipażem. Za dziesięć minut dowlecze się do przystanku. Czy może mi pan, zwrócił się do Glücka, z zegarkiem w ręku poświęcić pięć minut czasu?

— Służę panu, skłonił się Glück poważnie.

— Pańskie niebo, pańska proklamacja i pańskie rzodkiewki mają mniej więcej jeden i ten sam kolor.

— Hm, skinął Glück.

— A czy pan wie, że istnieją na ziemi również i inne kolory? Że kolor różowy jest dla mnie specjalnie niewygodnym.

— Ależ tak, rozumiem to, naprzykład pańskie krytyki o mnie...

— O panu, — zdziwił się Herminius, — o panu. Ja pisałem tylko o sobie. Czyż pan naiwnie przypuszcza, że moje krytyki o pańskich książkach, mówiły o panu.

Pan, panie Glück odgrywał jedynie rolę ekranu, po którym przesuwał się mój cień. To byłem ja, Marceli Herminius. To ja tworzyłem legendę owego cienia, którego opinja nazwała Rajmondem Glückiem.

— To była piękna legenda, ale ja jej nigdy nie rozumiałem.

— Bowiem to ja dałem życie człowiekowi, którego nazwano Glückiem, a w istocie nazywał się Herminiusem.

To ja stworzyłem pana, którego pan nie rozumiał wcale.

— W istocie, — zamyślił się Glück, pocierając czoło — pisał pan zawsze o tem, czego we mnie nie było. Np. o tej „arce przymierza..."

— Cieszy mnie, że pan zdaje sobie teraz z tego wszystkiego sprawę — ciągnął Herminius. To wszystko są przesłanki. — Z dniem dzisiejszym stał się pan rzeczą nieużyteczną. Pański różowy ekran nie potrafi już odbić mego cienia. Jest pan dla mnie istotą bezwartościową.

— A zatem? — spytał Glück.

— Postaram się to panu wyjaśnić — powiedział oschle Herminius — chcę pana zniszczyć. Choćbym miał ugodzić w siebie.

Oczy wszystkich nie są zwrócone, jak pan przypuszcza, w stronę pańską, ale w stronę Marcelego Herminiusa.

Tło, na którem występowałem zawiodło, pan któremu dałem najistotniejszą legendę życia, wyparł się jej.

Wobec tego zniszczę legende Rajmonda Glücka, w której głównym bohaterem byłem ja, Marceli Herminius.

— W takim razie, zniknie pan również z powierzchni świata.

— O, zawołał Herminius — popełnia pan stale omyłki. Są prawa, które pozwalają mi żyć nadal. O to postara się pan Horacy Marks.

Wydawca tymczasem pośpiesznie kładł marynarkę. — Szkoda mówił, szkoda. Chciałem wydać pańskie książki z ilustracjami. Czy doprawdy, musi pan jadać rzodkiewki z naskórkami — ciągnął patrząc ze smutkiem na Glücka. Żegnamy pana — i dwa kapelusze zafurkotały w powietrzu.

— Żegnam panów, a proszę nie zapomnieć o ukłonach dla burmistrza Koop'a i jego pięknej córki, Kleopatry.

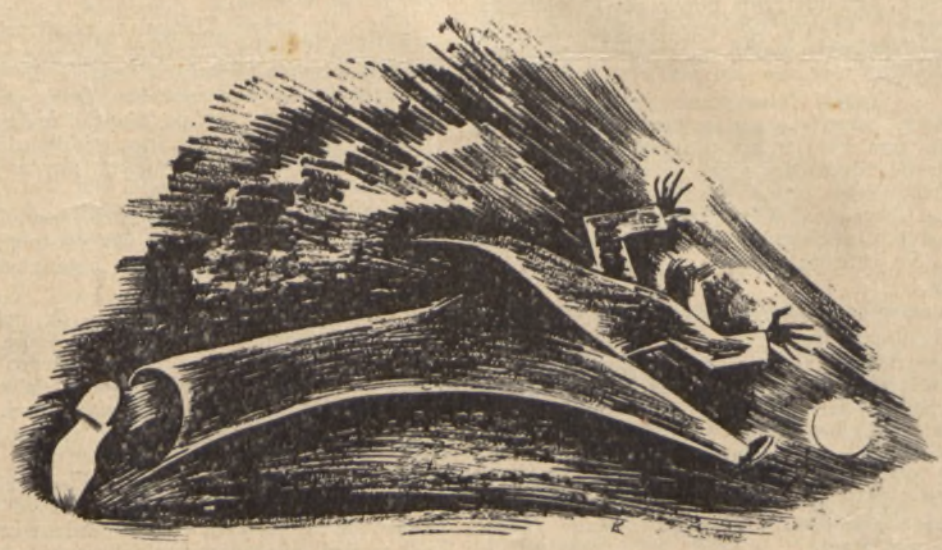

Rys. K. Libina

...Mózg mój, panowie, zmienił się w parę oszalałych nóg, pracujących jak motory...

DYSKUSJE

INFERIORITÄTSKOMPLEKS

Co pewien czas ktoś u nas zaczyna mówić o konieczności „uzdrowienia literatury", o potrzebie czerpania natchnień „z czystej krynicy", o tem, że nas napewno zbawi to lub inne remedium. Teraz znowu kilku panów powtarza dość monotonnie, że polską literaturę stanowczo i bez gadania zbawi chłop. A kiedy się czyta te chłopskie hopki, to smuteczek ogarnia jednak dość beznadziejny. Chłop? — niech będzie chłop. Ale, na Boga, pokażcież nam tego chłopa! A nasi panowie poza szlagworty — ani kroczku. „Zdrowie", „przewietrzenie", „nowy ład", „dość tego" — i stehen die Ochsen am Berge. Brak decydujących obserwacyj, brak talentów dialektycznych; prześwituje okropna płycizna, kuje się programy na poczekaniu, po usłużnych dzienniczkach, którym to jest potrzebne, żeby tam kogoś „utrącić" czy kogoś „wykończyć". Podłoże ruchu najzupełniej „doczesne", nie usprawiedliwione żadną przemyślaną rzetelnie koncepcją, nawet żadną ciekawszą przygodą literacką, nawet żadnym żywszym snobizmem mody. Sezonowy szał, odbywający się według letniego rozkładu jazdy.

Jakież ma znaczenie to, co mówią nam o tej zbawczej inwazji chłopskiej? — Żadne. Niema żadnej inwazji, jest tylko miejsce „na inwazję — i niegustowny plakat reklamowy. I jest sezon. My Warszawiacy znamy tę kołowaciznę. Nagle na rogach niektórych ulic zakładają ludzie kawiarnie, potem w tych samych lokalach składy samochodów, potem znowu w tych samych — banki. Nie wiadomo poco zakładali, ale wiadomo dlaczego musieli zwijać. Pracowali bez kalkulacji.

Do tej ruchawki dali się wciągnąć ludzie Bogu ducha winni. Taki naprzykład Zegadłowicz. Powtórzył jeszcze raz swoje zapleśniałe frazesy o „nadchodzącym" chłopie, w artykule wstępnym pisma „Wieś" — zamiast pisać „Kolędziołki". Niedobrze.

A jednak na tej saharze chłopskiej nudy kwitnie jeden soczysty kwiat talentu i uczuciowości głębokiej, serdecznej, niepodrabianej, pięknej w swej naiwności — Jan Wiktor. Ten zakwitł autentycznie, ale tak, że też trzeba wołać ratunku... znowu — z innego powodu.

Bo autentyczność wysoka. Wiktor jest, kto wie, czy nie najautentyczniejszym z dzisiejszych pisarzy polskich. Porachunki z nim mamy zastarzałe, krwawe i przyjazne. Kiedy wtacza się ten szaro-srebrny kłąb w binoklach do redakcji „Pionu", wiem już, że w ciągu dwu dni (bo Wiktor na dłużej do Warszawy nie zajeżdża) spotkam się z nim przynajmniej z dziesięć razy. Tak już nas los ku sobie skłania. Muszę wtedy natężać słuch ostro; każdy kto zna Wiktora wie, że zwierza swe myśli rozmówcy tajemniczym szeptem, przytem wykonywa ręką jakiś sakralny ruch, jak przy spowiedzi. I trzeba też żeby ten jedyny pisarz, z którym się zaprzyjaźniłem, dał mi właśnie powód do naganki. Niechże ją przynajmniej weźmie za dobrą monetę, a nie za napaść „warszaszawisty".

Wówiąc krótko, chodzi mi o jego „Wierzby nad Sekwaną". Nie będę tu pisał o zaletach artystycznych tej powieści. Książkę w „Pionie" zrecenzował Pomirowski. Mnie tu chodzi o stronę społeczną, o postawę, o głębsze podłoże. Ale mimo takiego ograniczenia tematu, nie mogę powstrzymać się, by nie podkreślić tego wielkiego ładunku szczerości artystycznej, który nadaje dziełu Wiktora trwałości i dźwięk mocny. Już pierwsze strony tych „Wierzb" nam o tem mówią. Takiej nocy na wsi nie każdemu udaje się przeżyć, a co dopiero zrealizować ją w słowie. Delikatność, giętkość słowa Wiktora, bezpretensjonalność tego słowa i naturalność, z jaką dobywa się spod pióra autora, każe nam myśleć raczej o malarzach niż o pisarzach. Raczej o Chełmońskim niż o Reymoncie. To przyleganie słowa do rzeczy, nie mające nic z lepkości, a jakże jednak zmysłowe, pociąga do Wiktora i nie dziwię się, że ten zaszyty w swej norze borsuk, nie mający pojęcia o wszystkich wielopiętrowych kombinacjach reklamy zdobył sobie zupełnie niechcący uznanie zagranicą, w Niemczech przedewszystkiem, gdzie go tak sobie tłumaczą, bez żadnych sztucznych popchnięć.

Ale właśnie pozycja Wiktora jest taka, że to, co zagranicą może być nektarem o nieporównanej egzotycznej woni, to tu, na naszym gruncie, ma posmak łez, tych łez, które dla literatury naszej były przez długi czas sztandarem. A łzy Wiktora są szczere i ciepłe, więc tem trudniej zdobyć się wobec nich na twardy gest. A jednak trzeba.

Do rzeczy. Czytelnicy wiedzą, o co w tej książce chodzi. Jest to powieść opisująca dolę a raczej gorzką niedolę Polaków-emigrantów we Francji. — Choć nie lubię cytować, bo to nie jest, mojem zdaniem, robota fair, wyjeżdżać na cudzym tekście — trzeba samemu go opisać i pokazać, — ale tutaj muszę to zrobić. Bo tu właśnie decyduje styl, tibmre. Na tem właśnie chcę się oprzeć.

„— U nas psu lepiej, niż naszym ludziom tutaj. Jakżeśmy jechali, to nam mówili na pożegnanie: stalowe twoje ręce, stalowa twoja pierś, Francja twoja matka, po wojnie nieszczęśliwa, idź broń twoją drugą ojczyznę. Narobiłem, narobiłem, aż portki ze mnie opadają". — I nieco dalej: „Co Polak używa na świecie? Ino bidy używa, ino się naponiewiera, jak ten marny ptak. Drgawki cię ze strachu chytają, żeby cię nie złapali. Sprzedane my na wieczną bidę, na wieczną poniewierkę. Leci ptaszek w górze i śpiewa sobie. — Ej, Boże, ej, Boże, bo jastrzębia się boi, tak samo każdy z nas żandarma się boi. Zbieram skórki chleba..."

Tak ma wyglądać Polak badany od wewnątrz. Zaszczute, płaczliwe, bezbronne stworzenie, łapciuch, wiecznie izawiący, nie znający na swoją krzywdę innej odpowiedzi i innej reakcji jak utyskiwanie, dziadowski lament, skamlanie, wołanie o litość, — ptak bojący się jastrzębia. Co za pyszna metafora, ale jakie okropne i upokarzające świadectwo.

Te „Wierzby nad Sekwaną" trzeba mimo to przyjąć. Jak się przyjmuje syna obdartego i głodnego — o to mniejsza — ale syna, który w tułaczce pozwolił sobie wmówić, że jest lichotą, popychadłem, stworzonem do podpierania cudzej wielkości, syna którego trzeba nakarmić, duchowo odprasować, starannie wydenzyfekować, uleczyć z „kompleksów" — i wyprasowanego, odświeżonego puścić w świat z surowym monitem, że tak zaczynać na nowo nie wolno.

Nie chodzi mi o zwalczanie Wiktora, czy o „wpływanie" na niego. Gdybym takie miał zamiary, stanąłby w jaskrawej z sobą samym sprzeczności. Obstalunkową literaturą „tężyźnianą" nic nie wskóramy. Przysporzymy bibljotekom pewnej ilości małowartościowych pozycyj, w publiczności zabijemy temi na sztucznych drożdżach wypiekanemi babami resztkę smaku. — Wiktor już taki będzie, i na to rady niema. Niech pisze, niech kwili, płacze, utyskuje. Musi wyśpiewać to, co w jego psychice jest założone, musi z niego bić to źródło, które w nim jest, a nie to którego w nim niema. Nic bardziej tępego w krytyce niż to poprawianie źródeł. Od tego barbarzyństwa chroń nas Panie!

Krytyk nie jest poganiaczem pisarzy, ani ich impressarjem. Nie naszą jest rzeczą pisarzy „urabiać". Zresztą nie wierzę w prawdziwego pisarza, któryby dał się urobić. My robimy robotę odrębną, i na naszym własnym warsztacie. Widzisz po swojemu — to dobrze. Pisz zdrów jak umiesz. W tem ci nie przeszkadzamy. Ale pisząc, sugestjonujesz. Mówisz: życie jest takie. Albo: Polska jest taka; człowiek jest taki i w to każesz wierzyć. A jeśli masz talent, to i ludzie wierzą. I nie o ciebie nam chodzi. Twój wysiłek oceniamy, i wiemy, że cokolwiek napiszesz jeśli zrobisz to dobrze, zasłużysz się. Nietylko literaturze, ale i społeczeństwu. Bo taki jest genjalny mechanizm sprawiedliwości, że każdy wysoki gatunek wysiłku, choćby w skutkach doraźnych przynosił zło, — odbija się w dalszym rozrachunku, jako dochód narodowy. — Duchowy, czy materjalny.

Ale chodzi o to, że widzimy rzeczy inaczej. My mówimy: człowiek nie jest taki; życie nie jest takie; Polska nie jest taka. I zależnie od tego czy przeciwstawimy jednym obrazom — inne obrazy, jednym zaklęciom — inne zaklęcia, jednemu wyczuciu — inne wyczucie; — czy też obrazom, zaklęciom i wyczuciom — przeciwstawimy rozumowanie, dyskurs, syllogizm — powstaje literatura beletrystyczna, lub krytyczna. Ale walka jest ta sama. Jest to walka pomiędzy dwoma wizjami świata, którą raz prowadzi się obrazami, a raz pojęciami. Która broń lepsza, która skuteczniejsza — o tem decydują czyniki najzupełniej przypadkowe, indywidualne: talent, rodzaj odbiorczości czytelnika, epoka. Raz przemawia się lepiej pieśnią, innym razem rozprawą. Ale autor pieśni i autor rozprawy robią w gruncie jedną robotę: walczą o swoją wizję świata. Wszystko co nie jest tą walką, nie jest już literaturą, jest pisaniną, bakałarstwem, zawodem.

W wypadku Wiktora. Nie mogę się żadną miarą pogodzić z jego wizją Polski. Jest okropna i fałszywa.

Bo to jednak nieprawda, że mamy wciąż psychikę jucznych zwierząt. Że umiemy tylko zdzierając ciało, a duszę gubiąc w upokorzeniach, pracować na cudze — a potem tęsknić za rodzinnym bałaganem. Owszem, jest tego jeszcze dużo, ale to jednak nie jest Polska dzisiejsza. To co się dzieje w Polsce ważnego, istotnego — należy do innego gatunku rzeczywistości. I tego Wiktor nie dostrzegł. Tak już ma zbudowane oko.

Wątpliwości nie ulega, że jeśli chodzi o stan faktyczny, to Wiktor ma dużo racji. Bo jest wyzysk Polaków jadących na roboty do Francji, jest ich nędza, wynarodowienie, jest potworne ciemięstwo rekinów kapitalistycznych, rosnących i puchnących bogactwem na nikczemnym wyzysku.

Boże, cóż to byłaby za cudowna książka — gdyby nie była powieścią! Np. gdyby była reportażem. Reportażem beletrystycznym. Napisanym nie sucho, nie statystycznie, owszem przekonywującym swą obrazowością, — ale jednak mającym swoje „od—do", osnutym na faktach, na datach, na nazwiskach. Ileżbyśmy tą bronią mogli wywalczyć i jak ważnych rzeczy! I wtedy walka szłaby na inną broń i w innej postawie.

Powiem więcej, taką właśnie walkę musimy rozegrać. I to koniecznie. Ale trzeba zmienić ring. Nie lamenty, nie utyskiwania, nie jałowe tęsknoty i delektacja własną biedą — tylko walka o prawa. Sprawy, którą poruszył Wiktor nie można wygrać powieścią, a już napewno nie powieścią Wiktora.

Jeśli się chce coś zrobić dla Polaków, cierpiących ucisk i niesprawiedliwości we Francji, to trzeba tu przemówić językiem faktów. Trzeba powiedzieć rzecz prostą i rozsądną. Sojusz z Francją cenimy, kulturę francuską podziwiamy, ale ani sojusz ani przyjaźń, ani kultura fracuska — nie równoważą krzywd, które dzieją się naszym obywatelom, szukającym uczciwego zarobku we francuskich kopalniach, fabrykach, na francuskiej roli. Tych krzywd nikt nie zagada pięknem zdaniem o odwiecznej przyjaźni dwu bohaterskich narodów, nie przysłonią nam jej dzieła będące chlubą nietylko Francji ale ludzkości, dzieła Pascal'a, Racine'a, Flaubert'a, Bossuet'a. Nie jesteśmy narodem sentymentalnych kretynów, którzy dla miłego frazesu choćby mającego realne pokrycie w kalkulacji politycznej czy w istotnym kulcie francuskiego ducha, da sobie wmówić, że to co jest krzywdą i niesprawiedliwością można czemkolwiek zagadać. Tu jesteśmy dans un autre ordre d'idées, I takie postawienie sprawy, jedynie logiczne i słuszne, napewnoby w opinji francuskiej pomogło. Bo ten wielki naród liczy się tylko z tym, który z nim mówi d'égal à égal. I ma rację. Inne rozmowy są bezcelowe, a dla nas upokarzające.

Rozpinać się na krzyżu w oczach Europy — to jest jednak widowisko hańbiące. A zatajona ckliwość, której ten i ów z nas doznaje, czytając o mękach i poniżeniu wolnych obywateli wielkiego narodu i potężnego państwa przez obywateli innego wielkiego państwa — jest czemś w Europie zupełnie nie z prawdziwego zdarzenia. Takiem widowiskiem, takiem publicznem rozpiekaniem naszych ran możemy w opinji europejskiej, nietylko francuskiej, wzbudzić tylko pełne obrzydzenia politowanie.

Fakt szukania pracy poza granicami własnego państwa nie jest, dziś zwłaszcza, czemś wyjątkowem. Są emigranci innych wielkich narodów, czemuż nie miałoby być emigrantów-Polaków? Ale napewno żaden Niemiec, ani żaden Włoch nie upominałby się o swe krzywdy i prawa jękiem i lamentem, ubranym w formę powieści.

Co innego reportaż. Fakty, cyfry, obserwacje, tu i owdzie scena uchwycona „na gorąco". A wszystko utrzymane w temperaturze mocnej, gorącej, ale spokojnej i godnej. Tak, takim reportażem możnaby dużo wskórać. Przetłumaczyć to na kilka języków europejskich, przedewszystkiem na francuski — i puścić w świat. Poza pożytkiem społecznym, niewątpliwie oddanoby tem ogromną usługę propagandzie. Miałaby nareszcie rzecz konkretnego i pożytecznego do zrobienia.

J. E. Skiwski.

NADZIEJE NA T. K. K. T.

Zebranie pięciu teatrów stolicy, w tem dwu reprezentacyjnych, pod opieką Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce, przyjęte zostało przez prasę naogół z wyraźną życzliwością. Jeżeli jednak tu i ówdzie wyczytać można było jakąś rezerwę, najpoważniejsi krytycy z Rzymowskim i Boyem-Żeleńskim na czele stanęli odrazu na gruncie dobrych stron takiej organizacji, komentując przychylnie programowe przemówienia prezesa Towarzystwa, min. Korsaka, i dyrektora teatrów Towarzystwa, d-ra Szyfmana, wygłoszone na herbatce informacyjnej, wydanej dla zespołu artystycznego i prasy.

Wśród tych nadziej, przeważnie akcentowanych silnie już w samych tytułach: **„Nowa era teatrów warszawskich" Boya-Żeleńskiego (I. K. C.)** czy **„Nadzieje teatralne" Ireny Krzywickiej (Express Poranny)**, wyczuwać się daje tylko jedna obawa: wewnętrznej cenzury teatrów. „Czy oficjalny poniekąd charakter teatrów stolicy nie będzie nazbyt skłonny unikać wszystkiego, coby trąciło bezwzględnością ironji, odwagą krytyki lub protestu? czy taki teatr nie będzie się zadowalał kultem buntowników z przed stu lat?". Natomiast p. Krzywicka obawia się ponadto o swobodę krytyki w stosunku do tych teatrów pisząc: „Jeżeli nawet która sztuka padnie, jeżeli zyska zamiast pochwał słowa surowej krytyki, nie może to w żadnej mierze nadwyrężyć powagi władz państwowych ani nie powinno być traktowane jako częściowe działanie na szkodę interesu publicznego".

Wydaje nam się, że T. K. K. T. nie będzie miało żadnych trudności z udzieleniem odpowiedzi na oba te pytania. Co do objekcyj Boya-Żeleńskiego należy stwierdzić, że żaden teatr na świecie nie może ubiegać się o jednolity światopogląd swego repertuaru, bo jest to rzecz nie do przeprowadzenia. Jeżeli właśnie w repertuarze klasycznym może czynić poszukiwania utworów o światopoglądzie zbliżonym do siebie i szczególnie aktualnym, to światopogląd repertuaru współczesnego zależy li tylko od autorów. Wielki ogień przekonania ujęty w interesujące wartości artystyczne uwiedzie nietylko słuchacza, lecz i kierownika teatru i o to nie należy się obawiać. Chodzi tylko o to, by odróżniać trafnie prawdziwych „buntowników" ducha od snobów i spekulantów wszelakiej ideowej łatwizny.

Co do swobody krytyki, to każdemu poważnemu teatrowi musi zależeć na krytyce objektywnej i szczerej, a nawet wymagającej. Jeżeli teatry T. K. K. T. mogły się uskarżać w pewnych wypadkach w ubiegłym sezonie na krytykę, to nie na tę, która wytykała szczere pomyłki, lecz na tę, która wyraźnie spekulowała na odciąganie publiczności od teatru, łudząc się nadziejami, że jest to najlepsza droga do „położenia" Towarzystwa.

Akademicy „w terenie"

Ukazanie się pierwszych Akademików Literatury na prowincji odniosło już doskonały skutek: przyjazd członków Polskiej Akademji Literatury staje się odrazu powodem zwrócenia uwagi powszechnej na dany ośrodek kultury. Z powodu ostatniej bytności prezesa Sieroszewskiego i Irzykowskiego w Częstochowie pisze korespondentka **I. K. C. p. S. Szadkowska** w feljetonie, poświęconym **„Wystawie książki polskiej w Częstochowie"**: „Trudno sobie wyobrazić coś bardziej rozczulającego, jak moment, kiedy do przedstawicieli społeczeństwa częstochowskiego, witających dostojnych gości, przemówił Sieroszewski, który Częstochowę znał z tych czasów, kiedy to jako pierwszy emisarjusz Brygadjera przybył tu, aby szczepić ideę Legjonów".

Oby te wycieczki członków Akademji stały się jak najczęstsze. Byłyby one znakomitym zadzierżgnięciem węzłów pomiędzy inteligencją prowincjonalną a najwyższą reprezentacją naszej literatury.

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA"

jedyne od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej", Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-53).

PRZYGODA W BUDAPESZCIE

Powieść Körmendi'ego *) stanowi jedno z najpoważniejszych wydarzeń literackich bieżącego roku. Wśród szeregu nawet najlepszych powieści w ostatnich latach daje się zauważyć jakąś pustkę i bezcelowość. Efektowne, często w manierę przechodzące komplikowanie, a nawet gmatwanie psychiki ludzkiej, staje się areną popisową dla młodych pisarzy. Ten psychologizm, graniczący o cienką niekiedy miedzę z dziwactwem, poparty istnym barokiem stylu, spycha powieść w ciasny i spadzisty zaułek, gdzie byle nieostrożne stąpnięcie może spowodować skręcenie karku. Supremacja drobiażdżków psychologicznych, przesłania twórcy zasadnicze rysy psychiki ludzkiej. Jeśli się przypatrzymy na przestrzeni wieków, na obszarze całej literatury, owym zasadniczym rysom dostrzeżemy łatwo jak bardzo nieznacznie, jak wolno zachodzą tu zmiany. I to może odstrasza — ale przecież nowość tu może być, ona będzie polegała na nowym stosunku twórcy do tej zastanej psychicznej rzeczywistości. Stosunek ten jest i musi być wielkością zmienną zależną do czasu, epoki, nastroju. I w tym właśnie kierunku wydaje mi się winna iść powieść psychologiczna jeśli chce się uchronić od zwyrodnienia. Chociaż zdarzają się powieści z ostatnich lat olśniewające wprost swą techniką, potęgą i wyrazistością wizji artystycznej, czujemy że coś tu jest jednak niedopowiedziane, czegoś w tem cacku, w tym kęsku dla smakoszów brak... Często trudno sobie uświadomić na czem ta wyrwa w skończonem dziele polega. Wydaje mi się, że powieściom tym brak syntezy współczesnego życia, jego nurtu, którego zaledwie drobne skrawki dostrzega przeciętny człowiek. I chyba niema takiego, któryby nie usiłował z gorszym lub lepszym skutkiem te skrawki dostrzeganej rzeczywistości w całość połączyć dla otrzymania chociaż cienia iluzji owej syntezy. Synteza ta w odpowiedniej formie podana, daje w dziele literackim poczucie czegoś skończonego, czegoś pełnego. O taką syntezę pokusił się Fr. Körmendi i trzeba przyznać, że zamierzenie się udało. W powieści nie popisuje się autor „nowemi" odkryciami w dziedzinie psychiki ludzkiej; nie ma tu żadnych tricków i koziołków. Prosto z szlachetnym umiarem dojrzałego talentu opisuje tragiczne dzieje, wytrąconego z kolei normalnego życia, bezideowego, przygniecionego ciężką łapą wojny, pokolenia.

„Koło godziny dziesiątej zbierali się „chłopcy" w kawiarni. „Chłopcy" — to młodzieńcy od trzydziestu dwu do trzydziestu trzech lat, rówieśnicy, którzy przed [illegible] jednocześnie ukończyli gimnazjum".

Każdy z tych „chłopców przeżył cztery lata wojny i jej następstwa, każdy dzień kataklizmu i wstrząsów młodą psychiką... i nagle zapanowała cisza. Nic się nie dzieje. Jest zwykłe chodzenie do biur, sprzedawanie manufaktury, zwykłe, szare bez zdarzeń życie. Tak wloką się lata. I przypadkiem w starym angielskim żurnalu jeden z „chłopców" — Kelemen znajduje zdjęcie z Południowej Afryki i objaśnienie: że T. A. Cadar sławny architekt wybudował własnym kosztem miasto-ogród w Port Elizabeth, na zdjęciu T. A. Cadar otoczony przedstawicielami rządu przemawia do ludności. T. A. Cadar to poprostu Antek Kadar — „Pingwin", kolega szkolny, tuman klasowy. Od tego dnia do beznadziejnej egzystencji Kelemena wtargnęła wizja miljonów Kadara i dalekiego, słonecznego Port Elizabeth. Jest jakaś iskierka nadziei wydobycia się z szarego i nędznego życia w Budapeszcie. Dzieli się wiadomością z „chłopcami" — postanawiają wspólnie wysłać pozdrowienia dla „Pingwina". List, jako odkrywca, wysyła Kelemen, ale Kelemen ma pomysł i... dopisuje wyłącznie od siebie w tajemnicy przed kolegami kilkanaście serdecznych słów do Antka. Dalej opisuje Körmendi dzieje Antka Kadara, rozbitka wielkiej wojny. Przypadkowa bywa śmierć w okopach i przypadkowa zawrotna karjera. (Przypadek gra decydującą rolę w powieści Körmendiego). Od jednej chwili, jednego zwrotu, jednej sytuacji zależy całe życie człowieka. Przypadek a raczej zbieg przypadków robi z Kadara ekspodporucznika, studenta i pomywacza w nędznej węgierskiej knajpce na peryferjach Londynu wpływowego przedsiębiorcę i wybitnego architekta. Jeden fałszywy krok w decydującej rozmowie z czarnooką wdową Mrg. Myers a Kadar zostałby może przez całe życie pomywaczem w knajpie. Wygrana batalja, Afryka, Port Elizabeth, piękna i bogata żona Ilonka Myers i udział w wielkiem przedsiębiorstwie. W kilka miesięcy po odkryciu Kelemena przychodzi list od „Antka" — pragnie odwiedzić miasto i kolegów. I od tej pory miljony „Pingwina" i jego nieprawdopodobna karjera wtargnęły w życie „chłopców". Odżyły, gdzieś na dnie świadomości ukryte, niezaspokojone pragnienia, odezwał się głód przemian i zdarzeń. Gdy wreszcie zjawia się inżynier T. A. Cadar przesuwa się przed naszemi oczami zaiste Benjonsonowska (Wolpone) defilada chciwości, małych podłości i wielkich nadziei. Tragiczną postacią, symbolem zmarnowanego przez wojnę pokolenia, drugim bohaterem powieści jest Kelemen. Reprezentuje on tych, którym w zawierusze nie udało się chwycić mocnego drzewa. W swej żądzy wyrwania się z tego zabitego deskami świata posuwa się do roli rajfura w stosunku do własnej siostry, która ze swej strony stara się zyskownie sprzedać miljonerowi. Namiętność do Joli Kelemen zatrzymuje Kadara dłużej w Budapeszcie. Potrafił jednak w decydującej chwili otrząsnąć się z tego wszystkiego i wyjechać. To co przeżył było tylko „Przygodą w Budapeszcie" i tylko „przygodą". Szybko, obaliwszy Cadarową legendę powrócili „chłopcy" i rudowłosa Jola do manufaktury, biur i tępego życia. Tylko Kelemen już wrócić nie mógł, nie potrafił, on tylko mógł żyć w Port Elizabeth. Jego „Przygoda" kończy się śmiercią w Dunaju. Dużą rolę w powieści odgrywają kobiety. Zmysłowe i pełne temperamentu darzą swych często przygodnych partnerów bezinteresowną tkliwością i zrozumieniem. Począwszy od inteligentnej Ilonki Myers przez Agatę pielęgniarkę a skończywszy na pomywaczce Marji są oddanemi przyjaciółkami mężczyzny. Wprawdzie są i inne kobiety np. Jola Kelemen ale zostają one w walce o mężczyznę pokonane przez kobietę-przyjaciela. Do określenia stanów psychicznych postaci, sytuacyj i ciekawych obrazów używa Körmendi pięknego w niewymuszonej prostocie i oszczędnego języka. Scena samobójstwa Kelemena bardzo dobrze skomponowana i plastyczna zamyka silnym akordem tę nieprzeciętną powieść. Tragiczne słowa, które rzuca Kelemen, przed śmiercią, w ciemność budapeszteńskiej nocy są skargą, wyrzutem i usprawiedliwieniem całego, zmarnowanego przez wojnę pokolenia.

„Nasze pokolenie wogóle nienadaje się... nie może... nie umie wziąć się do niczego... ale doprawdy... nie jestem winien... doprawdy, nie tak, wcale nie tak chciałem"....

Przekład Pana Rezsö Schütza bardzo ładny i staranny.

T. Makarewicz.

*) **Fr. Körmendi: Przygoda w Budapeszcie.** Przekład Rezsö Schütza. Gebethner i Wolff.

WŚRÓD KSIĄŻEK

ARTUR PRĘDSKI „Postój w Sulejowie" powieść 1934.

W imię jakich odkryć i doświadczeń każe nam autor towarzyszyć bohaterowi powieści w upartem dreptaniu po ulicach miasteczka i przyległych lasach? O czem czy przeciw komu mają świadczyć dzieje Daniela Rybaka, widziane w ostrym skrócie sulejowskiego „postoju".

Wobec tych pytań książka milczy. I może niewarto byłoby się rozpisywać o niej, gdyby nie wzgląd na pewne uzdolnienia literackie Prędskiego. Autora bowiem cechuje obrotność pióra i wrodzona swada beletrystyczna. W ostatniej swej powieści, a właściwie szkicu powieściowym zdobył się na kilka dobrych fragmentów, przeprowadził parę żywych i naturalnych djalogów, nakreślił nieźle środowisko. Te umiejętności, acz bardzo cenne nie mogą jednak wystarczyć przy poważniejszych przedsięwzięciach twórczych. Autor zdaje się zapominać, że łatwość pisania nie powinna się zamieniać w łatwiznę, że chcąc przemawiać w powieści trzeba nasamprzód mieć coś istotnego do powiedzenia.

Naczelna postać Daniela Rybaka, ideowego komunisty wypadła w książce opłakanie dlatego, że podobnych typów rzeczywistość nie zna, ani znać nie może. Jest to egzemplarz sporządzony na modłę t. zw. „budującej" beletrystyki przedwojennej. Swego rodzaju pikanterję stanowi fakt, iż autor podejmując bądź co bądź rewolucyjny temat posługuje się metodą pisarską, właściwą najbardziej załganym obrońcom małomieszczańskiej osiadłości. Daje nam przykład komunizmu czcigodnego, komunizmu na bronzowo.

Przypatrzmy się osobliwej konduicie bohatera-komunisty na bruku sulejowskim. Rybak całuje ziemię w lesie swego dzieciństwa, kupuje włóczędze cajgowe portki, karmi łyżeczką odratowanego wisielca i ciężko beszta Bogu ducha winnych sekwestratorów. Podczas tych wszystkich, jakże podniosłych funkcyj peroruje na temat obowiązków państwa. Dlaczego zniechęcił się do idei państwowości polskiej, dlaczego załamał nerwowo wobec czekającego nań śledztwa —nie wiemy. I podejrzewamy autora, że nie wie także.

Nadomiar wszystkiego Daniel Rybak, wyobraziciel praw i kultury proletarjatu, jest utalentowanym pisarzem i człowiekiem wytwornym, spędzającym życie zagranicą, nawykłym do Louvru, południowych owoców i dobrego wina. Doprawdy, rzadko się zdarza, aby utwór literacki tak ostro szedł napoprzek intencjom autora, który głosząc potrzebę przewrotu nie znajdował argumentów w życiu i uciekał się do bujnej fantazji, który służąc ideologji skrajnie demokratycznej — dawał przykład zgrywającego się na demokrację arystokratyzmu.

Ta, mimo rozpaczliwych wysiłków Prędskiego, mętna i podejrzana figura główna, odrysowana została na tle prowincjonalnych stosunków i ludzi. Jak już wspomniałem tło wypadło udatnie. Osoby drugoplanowe, z któremi autor wyraźnie nie sympatyzuje, wyglądają dość prawdopodobnie. Jest to bardzo charakterystyczne i świadczy, że instynkt pisarski Prędskiego bierze w nim górę nad manjeryczną ideowością. Jeżeli więc Prędski zbliży się do życia i poniecha uchybiających pisarzowi tanich i naiwnych demonstracyj, możemy spodziewać się po nim ciekawszych książek, niż ostatnia.

Z. Kucharski.

R. H. Bruce Lockhart. Pamiętniki Angielskiego Agenta. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa 1934.

Pamiętniki Lockharta należą do ciekawszych z tego rodzaju literatury. Autor posiadając uzdolnienia literackie daje sobie znakomicie radę z ogromnym i ciekawym materjałem swego życia. Blisko czterystastronnicowy pamiętnik nie nuży nawet przez chwilę. Jasny, bezpretensjonalny styl, umiejętne rozmieszczenie materjału, duża zdolność charakteryzowania przewijających się przez książkę postaci daje całość godną przeczytania. R. H. Bruce Lockhart po dość burzliwej wczesnej młodości, dostaje się w 27 roku życia na stanowisko vice-konsula W. Brytanji w Moskwie. Trzy czwarte pamiętnika zajmuje owo urzędowanie w dawnej stolicy Rosji. Od roku 1912 pozostawał Lockhart na tem stanowisku do samego prawie wybuchu rewolucji bolszewickiej. Wkrótce po opanowaniu władzy przez komunistów wraca znowu do Moskwy tym razem jako kierownik misji o dość nieokreślonym charakterze politycznym. Ta nieokreśloność poselstwa była powodem wielu przykrości, jakie spotkały autora aż do więzienia bolszewickiego włącznie. Pamiętnik jest jednocześnie usprawiedliwieniem się przed podejrzeniami i zarzutami jakie wytaczano autorowi w związku z jego polityką w Moskwie. Znajomość stosunków i psychiki rosyjskiej oraz języka pozwoliła zebrać w pamiętniku dużo ciekawych spostrzeżeń i obserwacyj. Głównym jednak walorem tej książki jest opisanie zakulisowych sprawek wielkiej polityki, szczególnie ciekawe są wiadomości o dwulicowej polityce Ententy w stosunku do bolszewików. Objektywizm autora w ocenie obu rewolucyj oraz jej czołowych postaci zasługuje na uwagę i wnosi sporo nowych spostrzeżeń. Trzeba dodać, że lekka ironja stosowana przy ocenie posunięć politycznych W. Brytanji i jej sojuszników, umiejętnie umiejscowione anegdoty polityczne oraz żywo i plastycznie skreślone sylwetki Kiereńskiego, Lenina, Trockiego, Cziczerina i innych, składają się na b. ciekawą całość. Charakterystyka owych wodzów rewolucji, może niejednego przyzwyczajonego do tendencyjnych relacyj, zaskoczy, stykając się bowiem dzięki swej misji z owemi osobistościami dość często, wyrobił sobie autor o nich zdanie bardzo różniące się od owych popularnych charakterystyk. Ustrzegł się Lockhart od afektacji i pogoni za sensacją, która sama szła w ręce, dowodzi to jego dużego taktu i opanowania.

M.

John Reed. „Dziesięć dni ,które wstrząsnęły światem". Wyd. J. Przeworskiego. Przekład Al. Dobrota.

Ten reportaż Amerykanina o rewolucji rosyjskiej, napisany bezpośrednio po przewrocie i uznany przez Lenina za rzeczywisty, objektywny obraz wypadków, jest zapewne szczytowem osiągnięciem techniki reportażu, techniki dziennikarskiej, użytej w innych rozmiarach, jako najlepsza broń dla opanowania rzeczywistości i utrwalenia faktu.

Reed jest szczery i konsekwentny. Nie ukrywa swych sympatyj dla bolszewizmu, nie stara się jednakowoż zrozumieć nastrojów większości antybolszewickiej i poprzestaje na doraźnem zanotowaniu pewnych ostatecznych, błędnych może posunięć obozu antybolszewickiego (stosunek Kiereńskiego do sprawy kontynuowania wojny). Ale nie będzie się czytelnik spierał z Reedem o słuszność tego czy innego stanowiska politycznego, bo Reed chce być tylko informatorem, wynalazcą obrazowych faktów i konstruktorem ogromu przemiany w trakcie jej narodzin.

Trzeba przyznać, że lektura Reeda, naszpikowana wielkiemi ilościami dokumentów, prawie zawsze trafnie i celowo użytych, daje w swej zwartej i w stosunku do rozmiarów zjawiska zgęszczonej formie, żywszy, ostrzejszy obraz niż wielotomowe studja, zawarte w „Archiwie ruskoj rewolucji". Bowiem Reed jest najczystszej wody narratorem, jest artystą dziennikarstwa, widzącym w mikrokosmosach ludzi i wydarzeń parabole i syntezy kosmicznych rozmiarów. Dla Reeda jest ważne wszystko. Jedno słowo jest dla niego symbolem wielkiego obszaru rzeczywistości. Jeden dokument jest ważniejszy od setek deklaracyj politycznych.

Reed i jego praca nabierają właściwie znaczenia na tle innych wspomnień obcokrajowców, uczestników i obserwatorów rewolucji rosyjskiej. Wystarczy porównać „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" z „Pamiętnikami angielskiego agenta" Bruce'a Lockharta. W pojedynku tym zwyciężył zza grobu Reed. Jego stanowisko wobec Rosji sowieckiej jest obecnie stanowiskiem jego ojczyzny, Stanów Zjednoczonych A. P.

Jako dzieło wielkiej przenikliwości artystycznej, połączonej ze znakomitą analizą socjalną, zasługuje książka Reeda, której światowa sława dotarła do nas z przeszło 10-letniem opóźnieniem, na baczną uwagę. Poznanie pierwszej epoki rewolucji rosyjskiej za pośrednictwem takiego informatora, jest szczególnie ważne dziś, w okresie wyrównania zaległości informacyjnych i prostowania fałszywych wyobrażeń, darów z drugiej i trzeciej ręki.

Dobry przekład, praca **p. Aleksandra Dobrota,** znakomicie przyczynia się do uprzystępnienia „Dziesięciu dni, które wstrząsnęły światem", najbardziej nawet wymagającemu czytelnikowi.

G.

Hubert Adams: „Zemsta". Autoryzowany przekład Dr. J. P. Zajączkowskiego. Tow. Wyd. „Rój", Warszawa, 1934.

Jak dużo zależy od kultury pisarza świadczy doskonale książka Adamsa. Jest to powieść sensacyjna, ale sensacja ta podana jest w sposób kulturalny i nieobrażający zdrowego rozsądku. Niema tu owych straszliwych niedorzeczności, owego amerykańskiego „mrożenia krwi w żyłach" prawie nieodłącznych cech tego rodzaju literatury. Tajemnicze zamachy i wypadki są dostatecznie umotywowane i prawdopodobne, przez co pozbawione taniego, kryminalnego posmaku. Nikogo nie zamordowano w „tajemniczych okolicznościach" i zaledwie dwóch gentelmanów jest lekko rannych. Dzieje się to z woli autora, który nie goni za tego rodzaju efektami; wprawdzie zbrodnicza ręka szykuje wcale niebezpieczne zamachy, ale ofiary wychodzą z opresji cało — ocalenia są z dużem prawdopodobieństwem umotywowane. Bohaterowie powieści wprawdzie nic nie robią, bo... należą do arystokracji, ale mają natyle czas zajęty własnemi życiowemi sprawami i przyjemnem zabijaniem tego czasu, aby nie myśleć tylko o wykrywaniu zbrodniarzy i nie być jedynie zgrają detektywów. Końcowe karty książki wyjaśniają sprawę całkowicie. tajemnicze zamachy na Jerzego Peeble są wendetą nad rodem Peeblów. Akcja jest ciekawa i toczy się wartko. Postacie bezpretensjonalne i wcale nieźle skreślone z wyjątkiem konwencjonalnego aż do mdłości czarnego typu Hudsona. Jest tu też do kompletu detektyw-amator mało w powieści potrzebny, na szczęście nie robi poszukiwań i ogranicza sie tylko do wyjaśnienia pewnych wypadków. Zbędna jest i szablonowa gonitwa samochodowa za czarnym charakterem Hudsonem. Są to jednak rzeczy drobne, całość zupełnie niezła i miła. Prosty i bezpretensjonalny styl i język, umiejętność trzymania czytelnika w napięciu, z której autor umiarkowanie zresztą korzysta, dają dużą przewagę autorowi „Zemsty" nad jego kolegami, tworzącymi tego rodzaju powieści. Przekład Dr. Zajączkowskiego dobry.

M.

Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej

Ten szumny i mętnie zredagowany podtytuł nosi **„Myśl Narodowa"**, której każdy numer błaga o skonfrontowanie treści podtytułu z zawartością pisma. Efekt jest niespodziewany, wesoły i smutny zarazem. Wystarczy wziąć jeden z ostatnich nr-rów kwietniowych do rąk i przeglądając stronę za stroną szukać „kultury twórczości polskiej". Czemże się bowiem „Myśl narodowa" interesuje? **Faszyzmem Mosley'a, słownikiem politycznym Karola Maurras'a, sztuką teatralną Duvernois'a** (nb. Żyda francuskiego) i **„Markizą Yorisaką", Kuźnią Młodych** i sprawą bezrobocia — ale „kultury twórczości polskiej" ani śladu, chyba że pod tę rubrykę podciągnąć wierszyk J. B. K. i naciągane dowcipy z „Ofensywy" czy „Rozmównicy".

„Myśl narodowa" jest smutnym obrazem rozkładu. Bez dopływu świeżego powietrza, bez dopływu młodych sił, więdnie po 14-letniej wegetacji pismo, które pod swoją dumną nazwą nie przyniosło ani jednej pozytywnej myśli, nie wydobyło ani jednego talentu literackiego, tracąc czas i pieniądz, na rozpamiętywanie hierarchji masońskiej i na obwieszczanie światu nowego genjusza Słowiańszczyzny... Aldanowa (sic!)

Żałosny ten obraz musi w każdym bez względu na sympatje polityczne, wywołać szczery żal.

NA SCENACH STOLICY

„Kajus Cezar Kaligula" — tragedja w 4-ch aktach Karola Huberta Rostworowskiego na scenie Teatru Polskiego. Reżyserja L. Schillera. Dekoracje S. Śliwińskiego. Muzyka J. Maklakiewicza. (Dn. 16. V. 1934).

Zanim Rostworowski wszedł między ludzi zwykłych i począł ich ożywiać z pasją znakomitego psychologa, interesował się w swych wielkich dramatach człowiekiem abstrakcyjnym. Człowiekowi abstrakcyjnemu bowiem poświęcił nietylko „Straszne dzieci" i „Miłosierdzie", ale także „Judasza z Kariothu" i „Kaligulę". Człowiekowi abstrakcyjnemu, gdyż podejście Rostworowskiego do dramatu historycznego jest zupełnie odmienne od tego, jakie cechuje historyczny dramat Wyspiańskiego: następcą Wyspiańskiego bowiem jest autor „Kaliguli" tylko jako skala ambicji, oraz jako kapelmistrz sceny dramatycznej, który zrozumiał piękno teatralne „Nocy Listopadowej" i „Akropolis" i umiał je dalej i oryginalnie rozwijać.

Gdybyśmy chcieli ustalić ewentualną drogę, po jakiej dochodził Rostworowski do swego tematu, to najpewniej przekonalibyśmy się, że nie postać Judasza czy postać Kaliguli, nie moment historyczny był tą atrakcją której poświęcił najpiękniejsze karty swojej twórczości, ale że do tematów tych doprowadziło go rozmyślanie nad człowiekiem jako takim, nad tajemnicą duszy ludzkiej, która objawia się zawsze niezwykle, nawet w najzwyklejszym człowieku, ale która zastanawia w kilku indywidualnościach na przestrzeni dziejów tak bardzo, że poznanie tych wyjątków bardziej zbliża nas do wiedzy prawdziwej o człowieku, niż studjum najbardziej typowej przeciętności.

Jak zrozumieć Judasza i zbrodnię niesłychaną tego człowieka, który za 30 srebrników sprzedał Zbawiciela? Rostworowski ujrzał go w całej jego wielkiej męce i prawdzie na scenie swego teatru, poszedł czujnie jego śladem i okazał swój wielki talent w tem właśnie, że człowiek zrodzony z niezwykłych, nieprawdopodobnych założeń dziejowych Judasza, myślał i czuł jak człowiek prawdziwy. Małość człowiecza? Judasz Rostworowskiego nie jest wcale małym człowiekiem. Ten huragan wzruszeń i postanowień, który przewala się przez duszę tego sklepikarza i analfabety pod wpływem zetknięcia z najwyższą świętością, raczej wskazuje na bogactwo tego człowieka, który na sobie skupił walkę sił, przerastających odporność największego mocarza. Takie sprawy teatr średniowieczny przedstawiał w kształcie walki anioła z szatanem — tak czynił jeszcze Mickiewicz w „Dziadach", zanim nie porwał go płomień Wielkiej Improwizacji.

Tu, w Judaszu, dotrzeć można do granicy ludzkiego ducha. Tu się coś kończy, dalej jest już tylko pustka. I nagle Rostworowski przechodzi na drugi kraniec tej monady duchowej i znów dostrzega postać człowieczą, na której kończy się treść ludzka: władzca i szaleniec w jednej osobie, potężny imperator Romy i zwyrodnialec, który w rozpasaniu władzy swej dochodził do najdzikszych absurdów, skoro konia swego mianował konsulem. W Judaszu robak ludzki stanął twarzą w twarz z największą świętością. W Kaliguli jednostka wyniesiona na szczyty życia, posiadająca nieograniczoną władzę nad ludźmi, czczona jak bóstwo, w ocenie marności osiągniętych wyników dochodzi do zapamiętania tak tragicznego, że [illegible] w płomieniu bezgranicznej pogardy. Ju[illegible] jest prochem człowieka w obliczu [illegible]ętości, którą zaledwie przeczuć mo[illegible]. Kaligula jest królem stworzenia, który że[illegible]em okrucieństwie widzi swoją małość w[illegible]wieczą.

Dramat Kaliguli jest dramatem podwójnym. Dramatem człowieka, który wyrósł ponad swoje otoczenie tak wysoko, że widzi podłość otaczających go ludzi, ich strach, małość, egoizm i chciwość, — i dramatem człowieka, który czuje węzły łączące go z tą ludzką gromadą, który wie, że te same uczucia i myśli żyją w nim, że on sam, ubrany w togę senatora, wobec innego człowieka, któryby był cezarem, popełniłby wszystkie podłości, jakie popełniają wobec niego. Przecież nawet u szczytu władzy jest niewolnikiem swego strachu i na nic więcej zdobyć się nie może, jak na ofiarowanie trucizny temu, który na miano człowieka zasłużył.

Świetność tego utworu naszej współczesnej dramaturgji polega na doskonałości i bujności jego teatralnej formy, chwilami prawie operowej w swej szlachetnej pogoni za efektem i doskonale przeprowadzonej synchronizacji wiersza; przedewszystkiem jednak świetność ta polega na umiejętności stworzenia takiego Kaliguli, który jest zrozumiały i głęboko ludzki. I znów wyczuwamy, że Rostworowski oszukuje człowieka abstrakcyjnego: skoro tak głęboko ludzkim jest nawet Kaligula, to jakąż jest wielkość i rozpiętość tego, co nazywamy duszą człowieka.

Pod jednym jednak względem „Kaligula" musi ustąpić pierwszeństwa „Judaszowi", gdy „Judasz" jest pełnem wypowiedzenem wewnętrznej walki człowieka pomiędzy jego wrodzonym, silnym, nieprzezwyciężonym popędem, a wielkością zadania, które stanęło na drodze jego życia, to „Kaligula", wyrażający cierpienie samowiedzy posuniętej do ostateczności i spotęgowanej poczuciem solidarności z ludźmi, którymi pogardza, nie rozwiązuje w pełni innego zagadnienia, wyższego niż zagadnienie psychologiczne — zagadnienia władzy człowieka w stosunku do człowieka, i zagadnienia stosunku jednostki samotnej do związanego z sobą solidarnością trwogi — tłumu. Te zagadnienia zostały w „Kaliguli" potężnie postawione, nie zostały jednak równie potężnie rozstrzygnięte. Dlatego też, gdy „Judasz" rośnie z aktu na akt i dochodzi do wspaniałego finału, w „Kaliguli" jest dysproporcja pomiędzy świetnemi pierwszemi dwoma aktami, a następnemi dwoma — które słabną.

Do sezonu, w którym Teatr Narodowy grał „U mety", Teatr Krakowski „Judasza", teatr w Katowicach „Kaligulę", dołączył Teatr Polski widowisko wspaniale, które łączy w sobie reżyserję Schillera, dekoracje Śliwińskiego i potężną kreację Junosza-Stępowskiego w roli tytułowej. Schiller poszedł wiernie za inscenizacją autora i osiągnął w kilku zwłaszcza momentach wstrząsające wrażenie. Najbardziej zaś twórczy moment inscenizacji — chór pantomimiczny aktu drugiego — rozwiązał kostjumowo, w srebrnych maskach, w ugrupowaniu i głosowo z porywającą świetnością. Śliwiński zaś dawno nie dał oprawy tak monumentalnej i prostej: zwłaszcza stylizowana malowniczość aktu pierwszego i skupiony nastrój aktu trzeciego zasługują na szczególne podkreślenie.

Junosza-Stępowski specjalizuje się w rolach władców, jeden z nielicznych w aktorstwie polskiem, który ma w sobie majestat i prawdziwą pańskość w ruchach i obejściu. Juljusz Cezar, Iwan Groźny, Filip II, Stefan Batory, a teraz Kaligula, to najświetniejsze jego kreacje. W masce nieco podobnej do Juljusza Cezara, lecz doskonale zdeformowanej jakimś djabelskim błyskiem, szczególnie tym razem bogaty w ekspresję, nie gardzący niesamowitością spojrzeń i grozą fascynujących oczu, ani skurczami twarzy szaleńca i cierpiętnika, a jednak ten sam jak zawsze prosty i ludzki Junosza-Stępowski, cyzelator szczegółu, mówiący niezbyt donośnym, a jednak przeszywającym swą przenikliwością głosem, rozumiejący każde słowo trudnego tekstu i ciskający je widzom tak, że najtępszy musi zrozumieć. Jest coś zdumiewającego w tym artyście, który nagle po Marmeładowie, granym zupełnie fałszywie, daje postać nietylko mistrzowską po aktorsku, ale i głęboko przemyślaną i mądrą. Dopiero w akcie ostatnim zabrakło mu tragizmu — szedł na śmierć dobrowolną ze spokojem, który się nie tłumaczył.

Z dwu kobiet p. Eichlerówna imponowała ekspresją, natomiast p. Gorczyńska bardzo była ludzka i prawdziwa, zwłaszcza w doskonałej scenie aktu trzeciego. Z galerji wybitnych lub tylko dobrych postaci szczególnie silnie zaznaczyli swój współudział pp. Justjan jako świetny Cherea, Samborski, jako silny Protogenes i Socha jako sokratyczny Demetrius. P. Kreczmar był dobrym Regulusem, brakowało mu tylko gry ócz, która u Regulusa tak często zastąpić musi szczupły tekst.

„Kaligula" zamyka zimowy sezon Teatru Polskiego, gdy z akacyj spadają już kwiaty, [illegible]kreślenia, że ta niezwykła doskonałość jest [illegible]działem raczej ras innych. Nam, zwykłym ludziom, doskonałość taka, jest raczej niedostępna. I wyczuje się wyraźnie, że przy tej konkluzji wisi słowo „na szczęście". Bo Szkwarkin to nie ideolog, ale doskonały malarz obyczajów, który od francuzów przejął beztroskość, od niemieckich ekspresjonistów nauczył się prowadzenia djalogu, a z domu wyniósł dar obserwacji i mocne postanowienie nieprzepuszczenia nikomu. To też ta historja o adoratorach i rodzicach panny z dzieckiem, mieniąca się barwnie w akcji scenicznej jest przedewszystkiem popisem doskonałej techniki komedjowej i ostrej, bystrej obserwacji.

Trzech mężczyzn święciło prawdziwy sukces w sowieckiej komedji: Stanisławski jako świetny stary muzyk, Kondrat jako groteskowy dentysta i Pośpiełowski jako pełen humoru i wyrazu Gruzin. Ale i pozostałe role grane były dobrze przez cały zespół, wprawiony w ruch przez Zelwerowicza, na tle bardzo zabawnych i prostych dekoracyj Daszewskiego.

W. Z.

Nakładem „Drogi" ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

MYŚLI O NOWEJ POLSCE

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi" zł. 2.50)

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi" (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75-34. Konto P. K. O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

[illegible]żują się wywiady dziennikarskie z bibljotekarzami (z dyr. S. Dembym o Bibljotece Narodowej w Polsce Zbrojnej) i t. p. pocieszające objawy. Planowa akcja Ministerstwa Oświaty objęła również tak ważną dziedzinę pracy bibljotecznej jak ujednostajnienie przepisów katalogowych dla wszystkich bibljotek państwowych. Rzecz bardzo ważna, ułatwiająca pracę bibljotekarzowi i czytelnikowi, który musiał niejednokrotnie przezwyciężać rozmaite sposoby opisywania książek, utrudniające mu szybkie orjentowanie się w katalogach. Niemal każda większa bibljoteka miała swój „niezawodny" sposób katalogowania. Wytrwała akcja dyrektorów bibljotek państwowych z dyr. Bibljoteki Narodowej S. Dembym na czele oraz energja i wytrwałość redaktora przepisów Dr. Józefa Grycza, który aż cztery razy, jak sam w przedmowie wspomina, musiał przerabiać i uzgadniać projekty napływające z bibljotek państwowych, pozwoliła w końcu tę pożyteczną książkę wydać (Nakład Bibljoteki Narodowej). Mało, że jest to podręcznik niezbędny dla każdego bibljotekarza lecz i czytelnik choćby z grubsza z nim obznajmiony da sobie radę w każdej bibljotece państwowej. Książka obejmuje przeszło sto stron druku, jest jasno i zwięźle zredagowana. Tablice transliteracyjne obcojęzycznych alfabetów opracował Dr. J. Grycz w porozumieniu z Polską Akademją Umiejętności, bibljotekami uniwersyteckiemi oraz językoznawcami; ujednostajnią one transkrypcję z języków obcych w katalogach i niewątpliwie we wszystkich wydawnictwach państwowych. Wydane dla bibljotek państwowych, przepisy te obejmą z pewnością i prywatne bibljoteki, które zechcą z dobrej woli przystosować się i ujednostajnić „indywidualne katalogowanie". Palącą sprawą na najbliższy okres jest Ustawa Bibljoteczna, szkoda jednak, że zajmie się nią Akademja Literatury a nie fachowcy-bibljotekarze, chyba że Akademja przy opracowywaniu tej niezmiernie ważnej ustawy postara się o ścisły z nimi kontakt.

NA EKRANACH

„OSTATNI ATAMAN ANIENKOW"

(„Pan")

Liberalizm naszej cenzury ma i swoje złe strony. Dawniej przychodziły do Polski tylko najlepsze filmy sowieckie, dziś zjawia się bardzo dużo obrazów, które z powodzeniem mogłyby pozostać w kraju, nie nadają się bowiem dla zagranicznej publiczności. Do takich filmów średniej, a nawet słabej klasy, należy i „Ostatni ataman" reżyserji Beresniewa. Tematem utworu jest epizod z wojny cywilnej — dzieje bandy kozackiej „białych", walczącej pod wodzą ambitnego atamana. Ani scenarzysta, ani reżyser nie pogłębili tematu, ograniczając się do zreferowania w dość naiwny i jaskrawo tendencyjny sposób wzlotów i upadków przeciwnika czerwonej armji. Dla urozmaicenia akcji wpleciono jeszcze wątek sensacyjno - szpiegowski, przypominający trochę prymitywnem podejściem do sprawy — filmy polskie („Szpieg w masce"), zwłaszcza w scenie wykradania dokumentów.

Tyle o scenarjuszu. Reżyserja Beresniewa szablonowa i nieciekawa. Być może, że film jest trochę okrojony i dlatego brak wyraźnego związku między poszczególnemi epizodami, biorąc jednak nawet pod uwagę tę okoliczność łagodzącą, stwierdzić trzeba, że konstrukcja „ostatniego atamana" pozostawia wiele do życzenia, a montaż zazwyczaj doskonały w filmach sowieckich, nie ma tym razem charakteru. Aktorzy zato dobrze są zgrani, i to zarówno odtwórcy ról głównych, jak i statyści. Na tym odcinku Sowiety są jak dotąd niezwyciężone — takiego materjału ludzkiego niema nigdzie na świecie.

I jeszcze słówko o formie. Twórcy rosyjscy stworzyli styl fotografji filmowej, który przez długie lata zachwycał widzów, zmęczonych tanim realizmem amerykańskim i europejskim. Dziś na całym świecie podniósł się bardzo poziom fotografji, zwłaszcza w filmach amerykańskich i niemieckich (Ufa), a zjawiają się często znakomite zdjęcia i ujęcia. Rosyjska fotografja nadal jest najodważniejsza, ale ta bezkompromisowość formalna, często powtarzana i ograna jest nieznośna, jeżeli brak jej odpowiednika materjalnego. Patos formy w zestawieniu z nieciekawą treścią drażni widza bardziej, niż zwykła fotografja w przeciętnym filmie. Może działają tu złe przyzwyczajenia z lat dawnych — legenda o doskonałości filmów sowieckich, (Noblesse oblige), a może poprostu ten treściowo pusty film o nienagannej formie razi nas, jak każdy utwór dekadencki i artystycznie zwyrodniały...

„SHAŃBIONA"

(„Majestic")

Tytuł filmu działa raczej odstraszająco. Nazwisko bohaterki nie daje żadnej gwarancji (Helena Tvelwetrees), a reżyser Kenton jest nieznanym mistrzem kinowym. To są jednak pozory, które na szczęście okazały się niecałkowicie słuszne. Trudno wprawdzie „Shańbioną" nazwać filmem dobrym lub wartościowym, ale jak na sezon letni, jest to obraz wcale niezły, tak tematowo, jak i formalnie.

Scenarjusz melodramatyczny i psychologicznie niepogłębiony, ale nie specjalnie banalny, dający bowiem widzowi przyzwyczajonemu do amerykańskiego szablonu kilka niespodzianek. Strona kryminalna zagadnienia potraktowana została przez reżysera inteligentnie, a przeprowadzenie w specjalnej atmosferze wizji lokalnej, aby z rzekomej morderczyni wydobyć prawdziwe zeznania w samem założeniu już, jako pomysł — dobre, zostało bardzo trafnie zainscenizowane. Tak samo zakończenie dające widzowi pole do rozważań i snucia refleksyj, przypominające trochę ostatnią scenę „Mordercy" Langa, zaliczyć trzeba na poczet „Shańbionej".

Film jest dobrze zbudowany. Sytuacje są nie przeciągnięte, momenty tak liryczne, jak dramatyczne, utrzymane we właściwym tonie, bez niepotrzebnych akcentów i zbędnych komentarzy reżysera. Montaż logiczny i w ekspozycji zwłaszcza dramatu posiadający niewątpliwy nerw (narastanie przygodnej znajomości modelki i miljonera, przytem reżyser wiąże sceny poprzez pozorny brak zgody bohaterki na propozycję jej adoratora. Modelka nie zgadza się na jedzenie razem kolacji, ściemnienie i następna scena — widzimy parę jedzącą kolację i t. d.). Helena Tvelwetrees niespecjalnie pociągająca zewnętrznie i raczej blada, gra w tym filmie wyjątkowo dobrze, nawet w skomplikowanych scenach morderstwa. Adrienne Ames podobna do wszystkich złych „vampów" — niezła, a cyniczny Bruce Cabot — dobry.

„BOKSER I DAMA"

(„Światowid")

Amerykańska produkcja filmowa przeznaczona na eksport jest naogół przystosowana do gustów europejskiej publiczności, zdarzają się jednak wyjątki i zjawia się czasem na ekranie jakiejś stolicy Starego świata film w każdym calu — amerykański. „Bokser i dama" należy do tej właśnie kategorji filmów „zabłąkanych" które zainteresować nas mogą wyłącznie jako dokument amerykańskiej mentalności, rażą jednak nasze poczucie smaku swym prymitywizmem. W dobrze technicznie zrobionym obrazie reżyserji S. Van Dyke'a mamy bogatą kolekcję „chwytów", które niewątpliwie imponują Amerykanom i wprawiają w zachwyt Amerykanki, europejskiej natomiast publiczności „nie wezmą", wywołując najwyżej uśmiech, czasem politowania, a czasem zdumienia...

W filmie Van Dyke'a przerobionym ze sztuki teatralnej jest aż dwóch bohaterów płci męskiej: brutalny ale genjalny bokser Morgan (Max Baer) i subtelny nawet udu-chowiony (sic) gangster Will Ryan (Otto Kruger). Między nimi lawiruje — gwiazda (jakże mogło być inaczej?) kabaretowa Bella Merce (Myrna Loy). W pewnym momencie gwiazda decyduje się na boksera, oddając gangsterowi podarowane jej uprzednio klejnoty, a zatrzymując suknie i dobre wspomnienia. Niestety nigdy nic od początku dobrze się nie klei, a że w filmie potrzebny jest dramat, więc śpiewaczka Bella jest niecnie zdradzana przez gruboskórnego bohatera ringu, a rycerz i gentleman Will Ryan przytula ją do serca, postanawiając wyleczyć swą dawną przyjaciółkę z nierozsądnej miłości. Pomysł w założeniu dobry, nie nadaje się do przeprowadzenia, ponieważ na matchu o mistrzostwo świata Carnera-Morgan, na którym sędzią jest autentyczny Dempsey, a przed objektywem defiluje tuzin ex-mistrzów różnych wag, Bella olśniona walką swego ex-ukochanego decyduje się ostatecznie i nieodwołalnie na boksera, a uosobienie dobroci i szlachetności— właściciel spelunki i bandyta Will Ryan, błogosławi młodą parę. Oto film naprawdę amerykański...

W „Bokserze i Damie" świetnie jest zrobiony wielki match, a pozatem dla okrasy wstawiono parę numerów rewjowych, zainscenizowanych z rozmachem, ale nie mających nic wspólnego z estetycznem widowiskiem, i dwie piosenki źle odśpiewane przez źle grającą Myrnę Loy. Z aktorów wyróżnić należy Waltera Hustona, grającego managera bokserskiego i Otto Krugera, w roli szlachetnego gangstera. Max Baer, nawet, jak na boksera, ma za mało wdzięku i talentu.

Nadprogram tygodnik Foxa i interesujący reportaż z wyprawy Czeluskina.

b.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.

w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE

DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI".

MAŁA RECENZYJKA

Pomiędzy wielkie i wszechstronnie rozbudowane recenzje **Wiadomości Literackich** wsunęła sobie p. **Wanda Melcer**, króciutką recenzję p. t. **Szkoła się broni**, w której w kilkudziesięciu wierszach rozprawiła się gruntownie i ostatecznie z reformą naszego szkolnictwa powszechnego, średniego i wyższego, uchwaloną w latach ostatnich przez ciała ustawodawcze i wcielaną powoli w życie. P. Melcer posiada głęboko ugruntowany pogląd na te zagadnienia, zna je widocznie nawylot i charakteryzuje wszystko sumarycznie jako walkę z wolnością i „swobodną grą sił".

Recenzja omawia pracę zbiorową Tow. Oświaty Demokratycznej, nie zadaje sobie jednak trudu poinformowania czytelnika o zasadach samej reformy i poglądach jej twórców i realizatorów, ale poprostu streszcza wywody autorów, opatrując je rzewną łezką urzędowego współczucia przysięgłych obrońców własnego mglistego pojęcia metod wychowawczych.

Gdybyż p. Melcer zechciała kiedy na jakimkolwiek przykładzie z życia, który pozna nie z publicystyki, lecz z dokładnej znajomości przedmiotu, wytłumaczyć sobie, co znaczy pompatyczne wyrażenie o „swobodnej grze sił"! Przyszłaby wówczas z pewnością do przekonania, że jak w powieści, tak i w publicystyce nie należy używać etykietek, których treść dawno już się przekształciła, słowa zaś, choć często wypowiadane, nic już niestety nie znaczą.

LISTY DO REDAKCJI

W SPRAWIE WYDANIA KORESPONDENCJI STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze!

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku postanowiło uczcić 10-tą rocznicę wyjazdu Stanisława Przybyszewskiego z Gdańska, gdzie spędził, według własnych słów, „cztery lata jedyne, w których nie potrzebował życia przeklinać" i gdzie położył wielkie zasługi przez przyczynienie się do otworzenia Gimnazjum Polskiego, — wydaniem zbioru jego korespondencji.

Opracowania tego wydawnictwa podjął się dr. Stanisław Helsztyński z Warszawy, który do obecnej chwili zgromadził przeszło 1000 listów Stanisława Przybyszewskiego z lat 1882 — —1927.

Ponieważ Towarzystwo i Wydawca chcieliby zebrać, o ile to tylko możliwe, całość korespondencji tego, jednego z zasadniczych filarów Młodej Polski, zwracamy się niniejszem pismem do wszystkich posiadaczy nawet pojedyńczych i najdrobniejszych listów Stanisława Przybyszewskiego — z uprzejmą prośbą o nadesłanie bądź oryginałów tych dokumentów, bądź jak najwierniejszych ich odpisów dla zamieszczenia w zamierzonem wydawnictwie, dołączając jednocześnie jak najwięcej objaśnień, odnoszących się do faktów, osób i treści tych listów.

Oryginały natychmiast po odpisaniu zostaną zwrócone właścicielom. Przysyłki dla większej pewności prosimy nadawać jako polecone, adresując je bądź do Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, Gmach Gimnazjum Polskiego, Am weissen Turm 1, bądź do d-ra Stanisława Helsztyńskiego, Warszawa, ul. Grottgera 19, m. 13.

Mamy nadzieję, że P. T. Posiadacze listów Stanisława Przybyszewskiego, zważywszy na wielkie znaczenie takiego wydawnictwa nietylko dla życiorysu tego wybitnego pisarza, lecz również dla poznania jednej z epok najbujniejszej twórczości literackiej w Polsce, zechcą łaskawie zadośćuczynić naszej prośbie.

(—) **Stanisław Helsztyński,**
Wydawca „Listów Stanisława Przybyszewskiego".

(—) **Adam Czartkowski,**
Sekretarz Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

HISTORJA LITERATURY, KRYTYKA

Kazimierz Czachowski — Obraz współczesnej literatury polskiej 1884 — 1933. Tom drugi. Neoromantyzm i psychologizm. Lwów, 1934. Nakładem Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

Wanda Morzkowska-Tyszkowa — Zmichowska wobec romantyzmu francuskiego. Lwów, 1934. Wyd. Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

Olgierd Górka — „Ogniem i Mieczem" a rzeczywistość historyczna. Warszawa, 1934. Skład główny Libraria Nova.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590

Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: **Tadeusz Święcicki** Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10